

## *Jak to się zaczęło?*

*Wystarczy po prostu dodać  
nieco kolorowej farby.  
Przecież to takie banalne.*

Zacząło się to tak, jak we wszystkich prawdziwych bajkach. Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma morzami, w małym górskim miasteczku żyła malarka. Chociaż... jakby się dobrze przyjrzeć, być może to było już za pierwszą górką i wcale nie za morzami. Może także nie było to aż tak dawno, a zaledwie wczoraj? Tego nikt nie wie. Umieścmy ją jednak w tej scenerii. A więc... dawno, dawno temu...

Nie była to żadna malarka pokojowa, nie była też artystką o światowej sławie. Była jednak malarką. Miała wiele chęci i szczerę serce, aby uczyć się malarskiej sztuki. Próbowała u różnych nauczycieli. Poznawała tajniki mieszania farb, nakładania ich na płótno, prowadzenia pędzla. Poznawała też jak można malować z serca, ze swojego wnętrza. Wiele godzin spędziła na ćwiczeniach i na poważnych pracach. Dobierała sobie tematy wedle własnego uznania, umiejętnie przenosiła swoje wizje na papier i płótno. Obrazy namalowane przez nią reprezentowały całe jej bogate wnętrze. A było ono imponujące, choć sama artystka nie miała o tym pojęcia. Potrafiła to jednak jakimś szóstym czy siódmym zmysłem odczuć i niekiedy udawało jej się to doskonale. Nauczywszy się sprawnego używania pędzla robiła to z coraz większym zapalem. Bawiło ją to, że posiada wielki dar posługiwania się sztuką, którą tak wielu może się posługiwać, a którą posługuje się tak niewielu.

Z czasem, zaczęło jej brakować czegoś w tym co robi. Powoli, acz systematycznie zaczęła zauważać w swoich obrazach jakiś smutek. I nie wiedziała dlaczego. Nie malowała przecież niczego smutnego. Ba, jej obrazy wręcz przedstawiały radość. Radość tworzenia

*Andrzej Bednarz*

i radość życia. Jej radość. Tak jej się przynajmniej wydawało. Nie wiedziała dlaczego to, co kiedyś uznawała za wesołe sprawia teraz na niej wrażenie smutku. Długo się z tym męczyła. Długo zastanawiała się nad tym faktem. Może to jakiś błąd w prowadzeniu pędzla, może nieumiejętny dobór koloru, może...

— Zaraz, zaraz — krzyknęła któregoś razu do siebie. — Już mam. Tu właśnie chodzi o kolor. A właściwie o brak koloru.

Zrazu nie do końca jednak rozumiała, co sama miała na myśli. Myśl ta pojawiła się jakby znikąd i nie umiała jej kontynuować. To było jak przepływająca obca myśl, którą zarejestrowała. Jak przelatujący przed oczami, malutki robaczek. Wiadomo, że przeleciał, ale nic na jego temat nie można powiedzieć.

Próbowała jednak powrócić do rozważań. Próbowała podczepić się pod ten mglisty załączek nadziei. Pobierała przecież nauki u naprawdę dobrych artystów. Poznała u nich tajniki posługiwania się barwami, zapoznała się z ich mieszaniem, a mimo to jej obrazom brakowało koloru. Trochę ją to zmartwiło, ale wiedziała, że nie jest źle, bo przynajmniej wie gdzie zacząć drążyć temat. I zaczęła. Nie czekała aż samo się rozwiąże. Z pasją wnikła w sprawę coraz głębiej. Próbowała różnych technik mieszania, proporcji, kolejności dodawania składników. I nic. Czas leciał a ona nadal była tam, gdzie na początku. No, może tylko zniechęcanie coraz częściej zaczęło dawać odczuć, że czas ucieka jej przez palce. To nie był dobry doradca. To zniechęcanie raczej odciągało ją od prawdy niż przybliżało. Wiedziała doskonale, że jeśli teraz się podda, być może już nigdy nie wróci do malarstwa. A tym samym być może straci jedyną szansę, aby dotrzeć do sedna problemu.

To ostatnie orzeźwiło ją i szybko postawiło na nogi. To, że jeszcze przed chwilą była skłonna poddać się, nie miało dla niej żadnego znaczenia. To był drobiazg wobec tego, czego szukała. I znowu miała nadzieję, że znajdzie. Znowu miała nadzieję, i tylko nadzieję. Nie pomagały konsultacje u najlepszych mistrzów pędzla. Nie pomagało podpatrywanie ich malarskiego kunsztu. No nic, zupełnie nic. Jak grochem o ścianę. W jaki sposób by nie mieszała farby to i tak zawsze wychodziły jej tylko biel i czerni. I nie mogło wyjść inaczej, bo jej dotychczasowi nauczyciele uczyli ją posługiwania się tylko tymi dwoma kolorami. Nie mieszała ich nawet. Po prostu używali raz białej, innym razem czarnej farby. Sama wkrótce zauważyła, że takie malowanie niewiele daje możliwości.

Któregoś razu, niby przypadkiem, nie wyczyściła pędzla z czerni i włożyła go od razu do białej farby. Ku jej zdziwieniu pojawiła się szarość. Przyzwyczajona, że może być tylko to lub tamto nie zastanawiała się nawet, że może być coś pośredniego. Nie byłaby sobą, gdyby nie powtórzyła eksperymentu, a potem znowu, i znowu. W ten sposób odkryła, że może uzyskać ogromną ilość różnych odcieni szarości. To było coś co dało jej szansę na urozmaicenie obrazów. Korzystała z tej umiejętności do woli. Powstawały coraz ciekawsze cuda pędzla. Bawiła się tym i cieszyła. Aż do czasu, gdy przewrotna natura znowu zaczęła zauważać, że obrazy są coraz bardziej nijakie. Do pewnego czasu były ładne, ale przestało jej już wystarczać i piękno dotychczasowe jakby straciło blask w jej oczach. Znowu, tak jak kiedyś zauważała, że jedyne co umie z bieli i czerni wyciągnąć to te barwy w stanie czystym oraz z ich mieszania najróżniejsze odcienie szarości. Każdy z tych kolorów był uroczy, miał swój niepowtarzalny wdzięk. Ale nadal był szary. I nie pomagały nawet zmiany kierunku mieszania, jak uczyli ją niektórzy mistrzowie. Nawet

## *Los Barwą Malowany*

ci najwięksi, których inni zwali tytułarnie Wielkimi Malarzami czy sam Święty Malarz nie potrafili wnieść nic, co by ją usatysfakcjonowało, tym bardziej, że z braku wiedzy pletli oczywiste bzdury. I nawet jeśli ubierali się na czarno czy biało to i tak ich poglądy nie były przez to ani trochę kolorowe. Na nic się również zdało wmawianie przez nich, że przecież osiągnęła szczyt sztuki malarskiej. Nie dawało jej też satysfakcji, że nikt tak jak ona potrafi dobrać kolor do nastroju wplatanego w obraz.

— Nie, to nie to, nie to — krzyczała nieraz w zaciętrzewieniu i rozpacz do swojego odbicia w lustrze. — Albo to ja jestem wariatką i szukam czegoś ponad to, co wiem, albo to oni są ślepi na to, co widzą i co nas otacza.

Wiedziała przecież doskonale, że coś jest nie w porządku. Ba, była wręcz tego pewna. Nie wiedziała tylko, co? Wszystko mówiło jej, że malować barwami potrafi, że świat jest bardziej barwny niż się wszystkim największym malarzom wydaje. Jej nieświadomiana, wewnętrzna mądrość całą sobą, na wszystkie sposoby pchała się na zewnątrz. Nie umiała się jednak przebić. Napotykała jakąś, tak ogromną blokadę, że mimo jej pozornie wielkiemu zaangażowaniu, nic nie wydostawało się na zewnątrz. Ślady pozostawione w niej przez kolejnych nauczycieli, krytyków i innych ludzi, z którymi w codziennych rozmowach próbowała rozwikłać zagadkę swojego życia były tak głębokie, że wszystkie próby działania i ucieczki od obcych dla niej poglądów spełzały na niczym. Poglądy te oblepiły i przeniknęły ją tak dokładnie, że przysłaniały całą prawdę w niej.

Mijały trudne lata, trudne, bo jakże inaczej je nazwać, skoro upór i ćwiczenia, nauki i rozmowy, próby i teoria nie dały kompletnie niczego optymistycznego. Nie posunęły jej wiedzy nawet o krok. Tak jej się przynajmniej wydawało. Jej analiza faktów i własnych doświadczeń nie uwzględniała jednej, pozornie nieistotnej sprawy. Otóż, jej całe zaangażowanie i dążenia odbywały się na planie fizycznym. I dotyczyło spraw czysto materialnych. Nawet wtedy, gdy siadała w ustronnym miejscu i próbowała medytować nad swoim problemem to i tak robiła to powierzchownie. Tak ją zresztą nauczyli wielcy, którym w świecie ufano, których darzono szacunkiem i obdarzano cechami świętości. Tak ją nauczyli rodzice i kapłani. Tak w końcu postępowali jej nauczyciele. Jeśli więc nawet próbowała znaleźć rozwiązanie w sobie, to wychodziło ono raczej z tego co płytkie, powierzchowne lub wręcz zewnętrzne.

Tak więc próby trwały, próby na pograniczu wiedzy wewnętrznej i zewnętrznej. I wszystkie wydawały się mówić, że nie uda się. Bo nie udawało...

I w pewnym momencie to, czego dotychczas nie brała pod uwagę, pojawiło się niespodziewanie, przyszło z jej głębokiego i nieświadomionego wnętrza. To było jak przebłysk wiedzy, która zburzyła cały jej świat pojęć, nibywiedzy, która przewróciła jej świat do góry nogami. Poczula się jak ociemniała, któremu odebrano laskę, zakręcono go wokół osi i przewrócono. Nie wiedziała, że oto dotarła do rozwiązania, które było tak blisko, a jednocześnie tak daleko. W swoim zaskoczeniu nie pojmowała, bo w tej chwili nie mogła jeszcze pojąć, że oto odkryła nie tylko to coś wskazującego na rozwiązanie. Odkryła coś więcej, bo przysłowiowy czubek góry lodowej na temat wiedzy o całkowicie niewyobrażalnej dla niej wielkości i znaczeniu. Z początku nawet nie umiała się z tego cieszyć, bo to co odkryła zaskoczyło ją swoją prostotą i banalnością. Jednocześnie nie umiała jeszcze pojąć, dlaczego to jej się to pojawiło, dlaczego to ona dostała zaszczytu

*Andrzej Bednarz*

poznania tej wiedzy? Dlaczego było to tak trudno wcześniej zauważyć? Dlaczego nie poznali tego inni?

Wszystkie te myśli, wątpliwości i uczucia mieszały się ze sobą. Gdy po pewnym czasie przyzwyczaiła się do nich, a także do tego, że znalazła to, co tak uparcie było przed nią zakryte, co właściwie sama przed sobą zakryła, zaczęła próbować to zastosować w praktyce. Po pierwsze, musiała więc najpierw dobrze to sobie ułożyć w głowie. W tej samej głowie, która jak dotąd zaledwie wychodziła z oszłomienia.

— No więc dobrze, uporządkujmy to — rzekła do siebie, próbując w końcu sobie to trochę poustawić. — Najważniejsze w moim problemie było to, że wszyscy, nawet najwięksi malarze używali do swoich prac tylko białej i czarnej farby. I tylko z ich udziałem wykonywali swoje cudowne obrazy, pokazywali realność naszego świata. Mieszali je w najwspanialsze odcienia szarości, ale to zamykało się nadal w palecie bieli i czerni. Przez swój wewnętrzny opór nie potrafili zauważyć, że mieszanie ciągle w tym samym, niczego nowego nie tworzy. Mieszali biel i czerń, dlatego też nie mogli uzyskać nic spoza tej gamy barw. Całe pokolenia mijały — kontynuowała swoje rozmyślenia — a oni wciąż uczyli siebie wzajemnie i innych, że pokazują wszystkie możliwości, jakie malarz może pokazać. Uwierzyli w to wreszcie tak mocno, że nie docierało do nich, że jest inaczej, że świat jest bardziej kolorowy. Co więcej — zasmuciła się, gdy to sobie uświadomiła — oni uwierzyli, że świat jest cały taki szary. Szare jest słońce, drzewa, maki. Szarzy są ludzie i ich życie. Dlatego też wystarczyły im te szarości.

— A więc — kontynuowała swoje dywagacje — wystarczy po prostu dodać nieco jakiejś kolorowej farby, jakiegokolwiek, byle innej niż biel i czerń. Przecież to takie banalne, takie proste — wykrzykiwała coraz bardziej podniecona swym odkryciem.

— Jaka ja byłam głupia — westchnęła z żalem za tymi żmudnymi, zmarnowanymi latami. — A przecież wystarczyło dodać choćby kilka kropli czerwieni, zieleni czy innego koloru. Wystarczy dodać ciut, ciut. I jakie efekty. A co dopiero będzie, gdy dodam więcej i różnych barw. Moje obrazy zaczną żyć zupełnie innym życiem — znowu wpadła w radosne podniecenie i radość tworzenia czegoś nowego.

W zapamiętaniu zaczęła wyrzucać sobie zmarnowane lata i bezsensowne nauki. Ale to tylko na krótko, bo nowe możliwości tak ją wciągnęły, że zapomniała o bożym świecie. Znowu odnalazła radość tworzenia. Poczula, że tak naprawdę to dopiero teraz czuje się malarką, artystką w pełni. Oczywiście w tym momencie jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że niewiele potrafi, że kiedyś ponownie stanie przed niewiadomą i w rozpaczę zwątpi, czy nie da się inaczej. Lecz na razie radość z nowości przesłaniała jej całe życie. Cieszyła się ponownie z każdego pociągnięcia pędzla, bawiła każdym nowym odcieniem, jakie tylko udało jej się uzyskać. Czula, że żyje. Uświadomiła też sobie, że tak naprawdę to te minione lata i doświadczenia nie były zmarnowane, raczej były szalenie twórcze i odkrywcze, dawały szanse poznania, doświadczania i zmian, doprowadziły ją do miejsca, w którym się aktualnie znajduje. Bez tych pozornie zmarnowanych lat nie była by w stanie sięgnąć po to, co robi teraz. Bez tych wcześniejszych etapów nie była by taką jak jest teraz.

Ta książka jest opowieścią o takiej malarce. Nie jest to żadna konkretna malarka ani malarz. Takich malarzy jest wielu. Opowieść będzie o jednej z nich, ale mogłaby być

### *Los Barwą Malowany*

przypisana każdemu, bo łączą ich podobne problemy i chęć malowania siebie barwami tęczy, barwami i wibracjami niewidzialnymi dla innych, kolorami z tego i nie z tego świata. Jest to opowieść o jednym, krótkim etapie życia tejże malarki, etapie, który niekoniecznie tutaj się zaczyna i tutaj kończy.

Mam nadzieję, że jej historia poszerzy ci, Czytelniku, horyzonty, podniesie punkt widzenia i twoje własne wibracje, aby barwy twe były coraz doskonalsze. Mogłem o tym napisać tak, jak inni w publikacjach o rozwoju duchowym i reinkarnacji. Wybrałem jednak formę opowieści licząc, że prowadząc cię losami swojego bohatera skieruję twoją uwagę na sprawy ważne, podobne przecież w wielu miejscach do twoich i łatwiej poruszą one twoje serce.

Andrzej Bednarz  
Wrocław — Zapusta, 25 kwiecień 2002



# *Kim Jestem?*

*Jestem Bogiem–Boginią,  
która stwarza i realizuje boski  
plan.*

— Czy umielibyście wyobrazić sobie piękno, gdyby nie istniała brzydota? — rozpoczęła swą opowieść Ana — Czy docenilibyście światło, gdyby nie istniał też mrok? Czy zauważylibyście biel, gdyby nie było czerni? Na pewno nie. Właśnie to było motywacją, dla której Jesteśmy — ja, ty, my wszyscy, cały świat widzialny i niewidzialny.

Przed takim właśnie dylematem stanął kiedyś Bóg, lub jeśli wolisz, Bogini. Była ona od zawsze i będzie wiecznie. Jest wszystkim i niczym, jest całością i częścią. Po prostu Jest. Poza Nią nie ma niczego. Jest stwórcą i swoim stworzeniem, a co więcej, jest samym tworzeniem. W tym stanie trwała wieki, choć może wiek nie jest tu zbyt dobrym określeniem. W waszej terminologii potrzebne są słowa, a tych brakuje. Przyjmijmy więc dla uproszczenia, że było to wiele wieków temu, na tyle dawno, że można to nazwać wiecznością. I nie próbujcie zgadywać, kiedy i jak długo to trwało. To jest poza możliwością pojmowania przez człowieka.

Kim jest Bóg–Stwórca, Bóg–Ojciec? A może pytanie powinno brzmieć: kim jest Bogini–Matka? Żadne z tych określeń nie pasuje, bo stwórca jest i jednym i drugim. Jest całością. Za względu na wasze przyzwyczajenia będę go nazywać Bogiem, choć uprzedzam, że to duże uproszczenie. Jednak jest to prawda, bo Bogiem jest również.

Bóg istniał więc od zawsze i był całością. Rozumiał to doskonale i był siebie świadomym. Znał siebie i wiedział kim jest. Znał wszystkie swoje atrybuty i możliwości. Ale mimo to pewnego razu zapragnął doświadczyć siebie, doświadczyć Wszystkiego, Czym Jest. Dlaczego? Z punktu widzenia mojej opowieści nie ma to znaczenia. Przyjmijmy, że miał kaprys, że miał na to ochotę. A może po prostu uznał, że jest mu to w jakimś

### *Los Barwą Malowany*

celu potrzebne? Wszystko jedno. Przyjął założenie, że On wie o sobie wszystko. Wszak jest Bogiem. Aby więc móc siebie doświadczyć musiał przestać być Bogiem. No, może niezupełnie przestać. Raczej musiał zapomnieć kim jest. Postanowił więc, że podzieli się na nieskończenie wiele małych kawałków, z których każdy będzie samodzielną całością, a wszystkie razem będą Bogiem. To tak jak z gwiazdką śniegu, która jest zawsze gwiazdką, choć za każdym razem zbudowana jest z innej ilości małych kryształków. Gdy kilka płatków połączy się razem, stają się znowu gwiazdką, ale nieco większą. Tę samą ideę spotkacie w hologramach. Każdy hologram zbudowany jest z wielu mniejszych kawałków, ale każdy z tych kawałków ma cechy całego hologramu.

Dzieląc się na ogromną ilość kawałków Bóg spowodował jednocześnie, że każdy z tych kawałków jest nieświadomy swego dziedzictwa. Każdy z nich stał się niejako samodzielnym bytem, który zapomniał, że jest częścią większego organizmu i jednocześnie tego, kim ten organizm jest.

Dalszym założeniem wielkiego, boskiego eksperymentu jest to, żeby każdy z tych Bytów, samodzielnych cząstek przechodził przez kolejne fazy doświadczania siebie w różnych sytuacjach bytowych i myślowych. W ten sposób poprzez doświadczanie siebie nastąpi konfrontacja odczuć, myśli z czymś, co tkwi w tych Bytach wewnątrz. Każdy z nich zapomniał, że jest Bogiem, a właściwie jego częścią. Jednak jest Nim w rzeczywistości i ta jego iskra nie zapomniała o sobie. Następuje więc konfrontacja i poprzez nią jakby wtórne odkrywanie boskiego pierwiastka.

Dlaczego musi się to tak odbywać? Dlatego, żeby Byt energetyczny zaczął, jakby po omacku, tworzyć w sobie i poza sobą swoją własną rzeczywistość. Ta rzeczywistość, której później doświadcza, jest w opozycji wobec jego wewnętrznej prawdy, ale mimo to tę rzeczywistość Energia sobie tworzy. Następnie dokonuje się starcie z tą rzeczywistością, reakcje na nią i w końcu uświadamia sobie, że to jest coś, co Energii odpowiada lub nie. Mając w sobie boski pierwiastek akceptuje swoje doświadczenie lub odrzuca je. W ten sposób następuje doświadczanie wszystkiego, co jest do doświadczenia, na wszelkie możliwe sposoby. Bóg jest naprawdę nieograniczonym Bytem, stąd też ilość i różnorodność doświadczeń jakie stworzył są niezliczone. Aby je zrealizować, potrzeba wieczności. Dzięki temu nasze życie jest ciągle inne, niepowtarzalne i nie ma kiedy się nudzić.

Reasumując, Byt energetyczny kreuje siebie tak, jakby to robił od początku. Tworzy własną rzeczywistość, której doświadcza i z wniosków wkreowuje w siebie kolejne pierwiastki. Ale to tylko taki rodzaj gry, bo on naprawdę jedynie odkrywa coś, czym już jest i czym był zawsze. Odkrywa, że jest częścią Boga, jego fragmentem i jednocześnie samym Bogiem. Gdy odkryje siebie w całości, stapia się, o ile zechce z boską esencją, ale zachowuje nadal swoją indywidualność, świadomość swego istnienia. Natomiast Bóg, poprzez doświadczanie przez swoje części, czyli Energie, doświadcza siebie, tak jak Byt, który doświadcza poprzez swoje pojedyncze działania. I tak krok po kroku, aż do całkowitej Jedności wszystkiego, co jest. A co potem? Bóg nie potrafi się nudzić, choć samą nudę również on wymyślił. On ciągle tworzy. Zapewne doświadczaniu siebie nie będzie końca. Na waszym miejscu nie przejmowałbym się tym. Na pewno nie zrobi nikomu krzywdy. Nikt na tym nie straci. A zresztą, wtedy i tak już będziemy wszyscy wiedzieli, że Bóg to my.



— Kim wobec tego ja jestem? — zapytała Ana. — Jestem jednym z Bytów, który narodził się wówczas, gdy Bóg postanowił się podzielić. Wy ten moment nazywacie wielkim wybuchem. Co prawda jest to wielkim uproszczeniem tego oryginalnego podziału, niemniej stanowi jego namiastkę. Urodziłam się więc po to, aby zrealizować boski plan. W swoim małym wydaniu jest to też mój plan. Jestem bowiem Bogiem–Boginią, która stwarza i realizuje boski plan. Jestem więc niejako AlfaBeta, mała cząstka organizmu, którym jest AlfaOmega. Nie mam płci, bo podobnie jak Bóg, jestem całością. Mam przecież w sobie wszystko, co jest mi potrzebne do realizacji postawionego mi celu, w tym pierwiastki męskie i żeńskie. Będę siebie i podobne mi Byty energetyczne nazywać Energią. Bo jestem energią, jestem wibracją tworzoną przeze mnie samą. Zależnie od kaprysu lub potrzeby używam wobec siebie określeń żeńskich lub męskich. Żadna z form nie jest lepsza od drugiej, żadna nie może bez drugiej istnieć i żadna też nie jest poprawna. Mając jednak na względzie to, że w wielu językach ziemskich słowo *energia* jest rodzaju żeńskiego, najczęściej stosuję tę formę. Na pewno zastanawiacie się też, jak wyglądam. Mówiąc szczerze to z waszego punktu widzenia wcale nie wyglądam. Jestem dla was duchem, istotą niewidzialną. Dla Energii mojego świata zaś jestem czymś w rodzaju plamy barwnej w przestworzach niebios. No, ale skoro mój wygląd miałby mieć dla kogoś jakieś znaczenie, to na wasz użytek przyjmijcie przed oczami postać ślicznej, zgrabnej i młodej dziewczyny o długich, czarnych włosach, delikatnych, wschodnioazjatyckich rysach twarzy i łagodnych, skośnych oczach z parawanem długich i gęstych rzęs.

A wracając do tematu. Urodziłam się dość dawno. Wówczas nie wiedziałam o sobie niemal nic. Odczuwałam raczej instynktownie, że mam żyć i starałam się robić to najlepiej jak umiałam. *Żyć* to chyba nie jest najszcześniejsze określenie, bo pojmowane to jest w innych wymiarach, całkowicie innych niż spotykacie na co dzień. To życie polega na tym, że w każdej chwili coś z sobą robię. Nie robię po to, aby się nie nudzić. O rany, jakie to trudne, aby przelać na wasz ludzki język pojęć to, co chcę powiedzieć. Chodzi mi o to, że całe moje życie to ciąg eksperymentów, tzn. działań, dzięki którym odkrywam coś w sobie.

Każdy taki eksperyment odbywa się w trzech kolejnych krokach. Niektórzy wasi wielcy nauczyciele odkryli tę regułę i przekazali ją wam. W waszym świecie bowiem ta reguła się nie zmienia. Zmieniają się tylko warunki i prędkość jej realizacji. Zauważcie, że według tych samych kroków postąpił Bóg przy dzieleniu się i stworzeniu światów.

Pierwszym krokiem jest myśl. W niej to zawiera się cała idea tego, co chcę doświadczyć. Może to być więc np. jakaś cecha, której jeszcze nie poznałam w sobie, może to być zamysł podróży do jakiegoś zakątka Wszechświata. Nieważne co to jest. Ważne, że jest i chcę to poznać w sobie.

Krokiem drugim jest to, co na Ziemi mogłabym nazwać słowem. To jakby wyrażenie, że będę robić to, co zamierzam. To sprecyzowanie szczegółów, które dotyczą różnych spraw związanych z realizacją. Wypowiedzenie tego w formie myśli, słowa mówionego czy pisanego, daje temu etapowi siłę do przyciągania tego wszystkiego, tych sił, które pomogą zrealizować zamierzenie w etapie następnym.

I w końcu etap trzeci, czyn. Czymkolwiek by nie był, jest na pewno konkretną realizacją przyjętego wcześniej zamierzenia.

## *Los Barwą Malowany*

Jeśli więc chcę doświadczyć miłości to w pierwszym etapie podejmuję decyzję, że chcę jej doświadczać. W etapie drugim zaczynam kreować wokół siebie takie sytuacje, które umożliwią mi to doświadczenie. Mową swojej wibracji przyciągam więc inne Energie, kreuję sytuacje i okoliczności, stwarzam rzeczywistości wokół siebie, które w całości dają mi możliwość przeżycia tego, co chcę doświadczyć. I w końcu następuje samo doświadczenie, tj. przez kontakt z określonymi Energią, w określonych sytuacjach odczuwam uczucie miłości lub jej braku. Jeśli umiejętnie wykonam wszystko od początku do końca to mam szansę odkryć w sobie potencjał, pewną wibracyjną barwę, która dotyczy miłości. Drgająca nutka porusza we mnie coś co sprawia, że ustosunkowuję się do miłości w określony sposób i akceptuję bądź odrzucam ją. Jeżeli dzięki takiemu doświadczeniu odkryję w sobie coś, co we mnie już tkwi, cząstkę mojego prawdziwego jestestwa, mogę uznać to doświadczenie za zakończone. Bywa jednak, że wracam do tej samej sprawy po wielokroć. Czasami dlatego, że nieumiejętnie zrobiłam to co zamierzałam i doświadczenie nie wyszło. Czasami wszystko jest poprawnie, ale wielość odcieni jakiejś sprawy wymaga ode mnie niezależnych eksperymentów.

Na czym więc polega moje życie? Na tym samym co wasze, tyle tylko, że w innych warunkach bytowania. Nie ma tu żadnych ograniczeń. Można robić co się chce. Podróżuję więc do różnych zakątków wszechświata. Lubię to, gdyż w każdym z tych zakątków jest coś specyficznego, coś co nie tylko zaspokaja moją ciekawość i pęd do wiedzy, ale także uzmysławia mi różnorodność możliwych spraw, których chciałabym jeszcze doświadczyć. W międzyczasie wykonuję swoje eksperymenty i przeprowadzam rozważania teoretyczne. Z wyboru jestem myślicielką i to jest moja główna siła napędowa. Na razie, bo z czasem na pewno zapragnę innych rzeczy w swoim życiu. Wszak jest ich przecież tak wiele. Póki co, spędzam czas na rozmyślaniu, tworzeniu i podróżowaniu.

Gdybym chciała najpełniej oddać to, kim jestem, to najlepiej chyba byłoby stwierdzić, że jestem malarką, bo operuję barwami, tymi w sensie duchowym oczywiście, ale też jednocześnie sama jestem stworzoną przez siebie barwą. Praktycznie wszystko, co robię, to barwa. Bawię się tymi barwami i tworzę z nich. Bawię się też światłem, ale ono również jest barwą. Jestem także uczuciami i moimi myślami, lecz i one są barwą. Cały mój los jest więc jak widać barwą malowany.

W tym miejscu zastanawiacie się zapewne, czy Ktoś lub Coś mnie zmusza do takiego życia. Odpowiedź, jak to bywa z wieloma sprawami, może brzmieć: tak i nie. Wybór należy do ciebie. Już widzę tę waszą minę, i nawet się jej nie dziwię, minę, z której można wyczytać:

— Co ona mówi? Jak na dane pytanie można dać dwie sprzeczne odpowiedzi?

— A można, pewnie, że można. I zaraz się o tym przekonacie.

— Jesteście na co dzień przyzwyczajeni, że sprzeczności się wykluczają. Tymczasem zaś mogą się one uzupełniać. Tak samo odpowiedź, której oczekujecie wydaje się, że powinna brzmieć w określony sposób. Niektóre z waszych wielkich religii przez stulecia uczy was bezsensownej wiedzy, że oto jest ktoś, kto rozkazuje, nakazuje, egzekwuje, wymaga, karze. Mówiąc delikatnie, bzdura totalna. Nikt, zupełnie nikt nie nakazuje nikomu żyć w określony sposób, jak również nie karze go, gdy ktoś wybiera swój sposób życia i doświadczenia. Można nawet w ogóle zaprzestać jakichkolwiek ruchów w kierunku

Andrzej Bednarz

dalszego rozwoju, kolejnych doświadczeń. Ten wybór jest wyłączną decyzją Energii. Nikt mnie więc nie zmusza do tego, bym coś robiła ze swoim życiem. Odpowiedź brzmi zatem: *nie, nikt mnie nie zmusza*. Ale jednocześnie moja wewnętrzna, boska iskra, której jestem świadoma, popycha mnie ze zwykłej ciekawości i pasji do wielu kolejnych działań. I ta iskra zmusza mnie, czyli odpowiedź jest: *tak*. Lecz to zmuszanie nie jest presją z zewnątrz. To ja sama zmuszam siebie, bo chcę tego. Zastój, choć możliwy, jest dla mnie nie do przyjęcia. Ja kocham tworzyć i z pasją to robię. Są jednak byty, które uległy zastojowi i tkwią w marazmie. Czy na długo, trudno powiedzieć. Na razie wystarcza im to co mają. I wolno im, bo nie jesteśmy dziełem kosmicznej kserokopiarki, jak by się mogło niektórym wydawać i dlatego każdy ma prawo decydować o swoim losie sam, tylko on sam.



W oczach Boga wszystkie jesteśmy równe. Trudno przecież, aby miał różny stosunek do różnych swoich kawałków. Jesteśmy w jego oczach jednakowo wartościowymi Energiami, które mają prawo rozwijać się na swój sposób. Na swój sposób, czyli robiąc niektóre rzeczy w dowolnej kolejności i przyjętym przez siebie czasie. Możemy też decydować, że nic nie robimy i to też jest akceptowane przez Boga.

Dowolność oznacza, że nie tylko nie narzuca się Energii sposobu na życie, ale też nie ocenia się jej czynów. Niezależnie od tego do czego one prowadzą.

— A złe czyny, negatywna działalność, niszczenie, zło w jakiegokolwiek postaci? A jakże, już słyszę jak z waszej strony padają może nie zarzuty, ale ogromne wątpliwości. A co ze złymi duchami, siłami zła itp.? Czy to też nie jest w żaden sposób oceniane?

— Spokojnie. — wyjaśnia dalej Ana. — Zaraz spróbuję rozjaśnić te wątpliwości. Otóż wy żyjecie w świecie, w którym powszechną cechą niemal wszystkiego jest dwoistość danej rzeczy. Jest jasno i ciemno, jest biel i czern, itd. Jest też w końcu dobro i zło. Szczególnie tę ostatnią kwestię podsycają wasze religie i filozofie. I do takiego modelu próbują dociągnąć was, byście spełnili wymóg bycia dobrymi. A na przeciwnej szali stawia się to paskudne zło, którego trzeba unikać, wystrzegać się a nawet walczyć z nim. Należy być za wszelką cenę dobrym i jednocześnie zwalczać tych złych. Niezła teoria, ale to tylko teoria spisku, rodzaj manii prześladowczej tych, którzy ją podsycają i próbują na siłę wcielić w życie innych.

W rzeczywistości nie ma czegoś takiego jak dobro i dobre Energie, nie ma też zła i złych, czy jak wolicie negatywnych Energii. Całe to zło to jedynie wasz indywidualny stosunek do niektórych spraw, Energii i ich działań. Czy jeśli matka odmówi dziecku słodyczy to jest zła, czy dobra? Dziecko swoim doświadczeniem odbierze to jako zło. W końcu mama nie pozwoliła mu na cukierki. Ale ktoś inny, powiedzmy postronny obserwator może powie, że to dobry uczynek, bo dzięki temu dziecko zachowa zdrowe

### *Los Barwą Malowany*

zęby. Rozumiecie? Jedna i ta sama sytuacja a tak różny ich odbiór, skrajnie różny. I dokładnie to samo dotyczy wszystkiego co nas otacza. Po prostu dobro i zło istnieje jedynie w relacji z wami samymi. I nie ma czegoś takiego jak obiektywne zło. Nie ma też Energii, która to zło reprezentuje.

Dlaczego więc mimo wszystko postrzegacie coś jako zło? Bo np. chcecie doświadczyć takiej wibracji, takiej sytuacji, bo chcecie się do niej ustosunkować. Ona was osobiście dotyczy i wy ją osobiście analizujecie. Analizujecie to oczywiście z punktu widzenia człowieka w ludzkiej skórze. Doświadczając tego zła lub dobra stajecie jednocześnie przed dylematem, niekoniecznie uświadomionym, że to coś jest albo nie jest zgodne z waszym poczuciem wartości. Macie po prostu kolejne doświadczenie, z którego wyciągacie naukę i jednocześnie w oparciu o to doświadczenie kreujecie swoją rzeczywistość. Jedni wówczas to tak zwane zło odrzucają i ich świat jest go pozbawiony. Inni odwrotnie, są nim zafascynowani i brną w nie dalej. Jednym wystarczy pojedyncze doświadczenie tego typu, inni doświadczają podobnych spraw po wielokroć. Jedni potrafią to zrozumieć, inni zaś nie umieją sobie z tym dać rady i pozostawić tego poza sobą. Tym bardziej gdy ten niby zły uczynek wykonało się samemu, by poznać, jak się wtedy z nim czują.

Na Ziemi więc jest wielu zagubionych ludzi, którzy nie potrafią sobie dać rady ze złem, czy też raczej z jego doświadczaniem. Bywa, że całe życie marnują nie potrafiąc się zmienić i zacząć żyć inaczej. Ale to są nadal pełnowartościowe Energie, które się tylko zagubiły w trudach materii. One nie reprezentują zła i nie przenoszą go ani w Zaświaty, ani w kolejne inkarnacje. Po prostu tak się toczy ich bieżące życie. Bywa często, że te same Energie raz inkarnują i żyją jako osoby dobre, innym razem zaś złe.

Jak wspomniałam, Energii o cechach negatywnych jako takich nie ma. Jest jedynie sposób, w jaki dana Energia wyraża siebie. Przeważnie Energie wyrażają siebie raz dobrze, raz źle, używając waszej terminologii. Zdarzają się jednak czasami i takie Energie, które upodobały sobie szczególnie negatywne wyrażanie siebie. Wówczas inkarnując przyjmują życie zgodnie z tym, co przyjęły za cel swojego energetycznego żywota. I to samo odwzorowują w życiu ziemskim. Są to wówczas ludzie, których cechy reprezentują skrajny negatywizm i zło. Faktycznie, często można by ich nazwać demonicznym złem. A jak odnosimy się do nich my, w Zaświatach? Przede wszystkim uznajemy ich wolną wolę i wolny wybór ich drogi. Nie mamy ani prawa, ani możliwości, ani potrzeby, by wpływać na ich wybory. Niemniej zauważamy, że chroniczne wyrażanie określonych wibracji nie rozwija Energii a powoduje jedynie trwanie ciągle w tym samym stanie. Z tego więc względu zauważamy określone zjawiska i współczujemy im. Z drugiej strony wiemy, że brak postępu w rozwoju tych Energii blokuje rozwój całego świata. Dodatkowo Energie te wpływają hamująco na inne Energie. To także zauważamy, ale nie ingerujemy. Nie mamy żadnych praw, aby naruszać zasadę wolności stanowienia Energii o sobie. Niemniej zdajemy sobie sprawę, że sytuacja jest nieszczególna. Widzimy dokąd to zmierza, szczególnie gdy jedna negatywizująca Energia wpływa na inne i wiąże je ze sobą. Jedyne, co robimy, to unikamy kontaktu z tymi, które nie odpowiadają naszym wibracjom. Jednocześnie mamy nadzieję, że to okres przejściowy, że w pewnym momencie te Energie przebudzą się i pójdą normalną drogą rozwoju. Temu ostatniemu sprzyja ufność, że skoro wszyscy jesteśmy Bogiem to on sam siebie, w osobach niektórych Energii, nie skrzywdzi. A poza

*Andrzej Bednarz*

tym Miłość, która jest nadrzędną wobec wszystkiego, która tak naprawdę jest Bogiem, jest jedyną rzeczą, która istnieje i wszelkie próby innego spojrzenia są jedynie grą, która w końcu się skończy.



— Świat, w którym żyję i przebywam jest nieskończenie wielki. — kontynuuje swą opowieść Ana. — Nie ma ani końca, ani początku. Jest to przestrzeń, którą zapelnia życie. Nie można tego odnieść do świata, który znacie z autopsji. Wasz świat, a nawet wszechświat jest tylko maleńką kroplą w oceanie światów. I choć wydaje się wam, że jest nieograniczony, to jest on niewielki w stosunku do świata, o którym mówię. Wasz dotychczasowy sposób pojmowania przestrzeni uniemożliwia mi wytłumaczenie tego bliżej. Na potrzeby niniejszej opowieści będę go nazywać Zaświatem. Niektórzy używają liczby mnogiej, Zaświaty, więc może i tak być.

W różnych rejonach mojego świata istnieją skupiska światów wewnętrznych. Czym one są? Są energetycznym skupiskiem grupy Bytów, które dla swoich celów stwarzają jakąś rzeczywistość, aby jej potem doświadczać. Poprzez swoje wspólne działanie tworzą całkowicie nową rzeczywistość lub modyfikują istniejącą. Niekiedy wystarcza jedna Energia, która w swym rozwoju zaszła już tak daleko, że sama potrafi kreować nowy świat. W innych przypadkach tworzą go grupy Energii, które mają podobny zamysł i dla własnych doświadczeń realizują wspólny plan. Za każdym jednak razem są jakby bogami dla takiego świata.

Światy te powstają przez umiejętne skoncentrowanie energii znajdującej się wszędzie. Poprzez jej zagęszczenie mogą powstać światy o różnym stopniu gęstości. Niekiedy jest ona tak wielka, że przyjmuje formę, którą wy nazywacie materią. Tak więc z jednej strony są światy bardzo gęste, takie jak wasz, a nawet jeszcze gęściejsze. Z innej zaś są światy o naturze na tyle subtelnej, że nie macie szansy ich zobaczyć dostępnymi wam środkami. Dla was są one niewidzialne, choć z naszego punktu widzenia są normalnymi światami. I są one zbudowane również z materii, ale bardzo subtelnej.

W przestrzeni pomiędzy poszczególnymi światami jest jakby pustka. Ale to tylko pozory. W tej niby pustej przestrzeni przebywam ja i inne Energie, które czasowo nie są związane z żadnym ze światów. Ta strefa jest pełna życia i tak naprawdę to jedyne prawdziwe życie znajduje się właśnie tutaj. Wszelkie inne formy życia to tylko jego namiastka, odbicie jego prawdziwego oblicza.

Po co powstają te światy? To całkiem proste. Z jednej strony po to, aby Energia, która chce doświadczyć tego co mogłabym nazwać wielką kreacją, doświadczyła jej. Ona sama lub wspólnie z innymi Energiami. W ramach takiego doświadczenia tworzą sobie nowy świat i zapelniają go istotami, które w tym świecie mogą czasowo funkcjonować. W ten sposób sama Energia poznaje siebie jako stwórcę. Jednocześnie też stwarza warunki,

### *Los Barwą Malowany*

w których inne Energie mogą się pojawić, by doświadczać na swój własny użytek. Każdy taki świat to specyficzna, fikcyjna rzeczywistość, w której można przebywać i niejako doświadczać tego, co jest niemożliwe do doświadczenia w warunkach doskonałych, czyli tu, gdzie obecnie przebywam. Nie ma żadnego przymusu dla nikogo, aby w takim świecie się znalazł. Natomiast jest ciekawość i chęć poznania czegoś nowego. Stąd też do każdego z takich światów lgną liczne Energie szukające siebie i próbujące doświadczyć siebie w warunkach im nieznanymi.

Jako Energia mam możliwość przebywania w wielu miejscach. Najczęściej przebywam we wspomnianej pustce, bo to jest mój prawdziwy dom. Przebywając w nim, po prostu istnieję. Czasami nic nie robię, zwyczajnie trwam. Innym razem zajmuję się myślicielstwem. A jeszcze innym, wchodzę w kontakt towarzyski z innymi Energiemi. Razem spędzamy czas, bawimy się, przekomarzamy, jak również wspieramy w rozwoju, który bądź co bądź jest naszym wspólnym celem. Gdy mi się znudzi stagnacja lub coś mnie pcha w świat, zaczynam podróżować. Przemieszczam się sama lub z innymi, w bliższe albo dalsze rejony. I w zależności od celu, który chcę osiągnąć taką podróżą trwa to jakiś czas. A po nim znowu wracam do siebie, tu gdzie czuję się dobrze i swojsko. Niekiedy mogę w czasie podróżowania przybliżyć się dość blisko do któregoś ze światów. Mam wówczas okazję do przyjrzenia się tamtejszemu życiu, będąc jego obserwatorką. Daje mi to okazję do wielu specyficznych doznań. Z jednej strony, jako widz, nie jestem w stanie przeżywać bezpośrednio problemów jakie narzuca materia tamtego świata. A narzuca je, choćby była najsubtelniejszej nawet natury. Zawsze są jakieś ograniczenia i wymuszają one jakieś sytuacje. Z drugiej jednak strony mogę się jednak otrzeć o sprawy, których u siebie nie mogę w żaden sposób odczuć. Tym sposobem z podróżniczki przeistaczam się chwilowo w istotę żyjącą na pograniczu dwóch światów, swojego i materialnego. To zawsze stanowi dla mnie ogromne przeżycie i niekiedy staje się impulsem do innych doświadczeń, niekiedy kończących się późniejszym inkarnowaniem w materię. O tym ostatnim opowiem wam nieco później.

Podróże w rejony, w których znajdują się światy materialne, są dla mnie bardzo twórcze. Stanowią dla mnie możliwość kontaktu z wibracjami, których mogę jakby dotknąć, których natomiast nie mam na co dzień. Gdy wracam z takiej wycieczki, przez pewien czas analizuję rzeczy nowe i konfrontuję je z już poznanymi wcześniej. Tu wychodzi moja natura myślicielki. I zawsze coś z takiej analizy pozostaje. To coś albo mnie buduje, albo zmusza do uzupełnienia wiedzy.

Zdarzają się miejsca, do których mimo ogromnych chęci nie mam dostępu. Nie oznacza to, że są dla mnie zakazane, że ktoś mi zabrania tam wejść. Jest całkiem odwrotnie. Te miejsca, tak jak wszystkie inne, są otwarte. Natomiast niemożność wejścia tam wynika z moich aktualnych wibracji. Co to oznacza? Otóż jak wspomniałam, jestem w pewien sposób nieświadoma swojej boskości. Poprzez kolejne doświadczenia następuje mój rozwój, rozjaśnia się moja świadoma boskość i powoli wzrastają moje wibracje, przyjmując coraz to piękniejsze barwy. Na każdym etapie swojego rozwoju mogę przebywać i kontaktować się z Energiemi podobnymi do mojej barwy. Mogę przebywać wśród nich i niejako przy okazji korzystać z tego kontaktu. Wszak te wibracje się przenikają i wzmacniają. Mogę kontaktować się też z wibracjami niższymi, ale bardzo ostrożnie, by nie wpaść

*Andrzej Bednarz*

w pułapkę przyciągania, w sposób zbliżony do grawitacji w waszym świecie. Mogę także kontaktować się z Energią o wyższych wibracjach niż moje. Nie mam jednak możliwości w pełni tego wykorzystać, bo do tych wibracji muszę po prostu dorosnąć. To prawie tak jak z ogniem, do którego możecie się zbliżyć, z którego ciepła możecie korzystać, ale przy zbyt bliskim kontakcie możecie się poparzyć. Nie dlatego, że ogień jest zły, ale dlatego, że wibracje waszego ciała są zbyt niskie i kolidują z wibracjami ognia. A przecież są ludzie, którym ogień nie szkodzi. Są też Energie, które w ogniu żyją i inne, które przebywając w pobliżu Ziemi mogą w ogniu przebywać bez jakichkolwiek negatywnych skutków. Tak więc kontakt z wibracjami wyższymi od swojej muszę traktować bardzo ostrożnie, ale jednocześnie z wielką chęcią do nich się zbliżam. Ich obecność przy mnie jest twórcza, zachęcająca do dalszego rozwijania się. A poza tym tchnie miłością większą niż moja, a to zawsze było dla mnie miłe. Dlatego też staram się wielokrotnie przybliżać do tych rejonów mojego świata, w których istnieją przepiękne wibracje oraz Energie, które swoimi barwami je tworzą. No i w końcu jest jeszcze świat materii. Oczywiście nie jeden, lecz nieskończona ilość takich światów. Tam można również przebywać. I większość Energii przebywa tam. Czasowo, rzecz jasna. Jedne tylko raz, inne wielokrotnie.



— Po co Energie lgną do świata materialnego? Dlaczego tak chętnie inkarnują?  
— prowokuje Ana dalsze rozważania.

Idziemy na Ziemię lub inną planetę z własnej i nieprzymuszonej woli, aby doświadczać i przeżywać życie w całkowicie innych warunkach niż znamy w swoim świecie. Chcemy poczuć ograniczenia ciała, dotyk innego człowieka, świat emocji itp. Mamy w ten sposób możliwość konfrontacji naszych dotychczasowych przemyśleń i doświadczeń jako Ducha i jednocześnie sposobność, aby sprawdzić się tam, gdzie występują problemy, o których się Duchom nie śniło. Mamy też szansę sprawdzić jak realizują się nasze zamierzenia, marzenia, lęki w warunkach o dużej gęstości.

Przypomina to z grubsza wyjazd na obóz przetrwania. Zapewne słyszeliście o takich, bo niektórzy Ziemiańskie je propagują. Łatwiej może będzie wam zrozumieć przez analogię. Normalnie żyjecie w miejscu, gdzie macie określone warunki bytowania, zapewnioną określoną stopę życiową i wsparcie wszystkiego, do czego przyzwyczaiła was cywilizacja. Lecz teraz macie po prostu kaprys by się sprawdzić i zobaczyć jak to będzie, gdy tego całego cywilizacyjnego zaplecza nie będzie, gdy napotkacie inne środowisko i niebezpieczeństwa, gdy napotkacie to, co teoretycznie wydaje się wam, że potrafcie wykonać lub rozwiązać. Zapisujecie się więc z własnej woli, bez jakiegokolwiek przymusu z czyjejkolwiek strony, na obóz przetrwania, gdzie przetestujecie siebie. Organizatorzy zapewniają wam takie rodzaje doświadczeń (niektóre dadzą się zaplanować a inne pojawiać się będą doraźnie, niespodzianie), że macie rzeczywiście szansę sprawdzić swoje reakcje na

## W drogę

*Obyś żył w ciekawych czasach.  
I chyba będę — pomyślała Ana.*

**N**o i stało się. Ana podjęła się zadania, które będzie ją wiązać na jakiś czas. A miała pierwotnie zupełnie inne plany. Myślała, że będzie podróżować, że może wróci na jakiś czas do domu, do Plejadian. Życie pokierowało ją jednak po swojemu. Nie narzekała jednak, a wręcz cieszyła się, bo nowe wyzwanie dawało jej wiele szans na realizację siebie. Tym bardziej, że nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiła. Zawsze była uczniem i nie zastanawiała się, że może stanąć z drugiej strony. Jej poziom energetyczny predysponował ją do takich działań. Nie bała się więc tego. Raczej była ciekawa.

Podjęcie jednak tej decyzji wymagało z jej strony przemyślenia wszelkich za i przeciw. Każda dotychczasowa inkarnacja, gdziekolwiek by się nie dokonywała, była jej prywatną sprawą. No, może nie do końca, bo przecież każde działanie, każdej istoty wpływa na wszystko, co jest. Użyjmy tu jednak pewnego skrótowego myślowego, w myśl którego prawdą jest, że te inkarnacje były dla Ana prywatną decyzją i prywatnie uzyskiwała z nich korzyści. Jeżeli zaplanowała sobie jakichś doświadczeń w nadmiarze i później nie potrafiła lub nie zdążyła ich zrealizować, konsekwencje ponosiła ona sama. W ostateczności zawsze mogła powtórzyć sprawy, przed którymi stchórzyła lub nie rozpoznała ich w porę. Byłoby to w najgorszym razie zmarnowaniem inkarnacji lub zmniejszeniem jej efektu. A ponieważ nikt nie pogania bytu energetycznego ani co do określonego tempa działań, ani co do ich kierunku i kolejności, więc ewentualne potknięcie było tylko potknięciem, czymś co się przydarza każdemu, co jest niejako wliczone w ryzyko rozwoju. Ale nie jest to na pewno żadna tragedia. Nie przynosi to też nikomu ujemny a tym bardziej żadnych negatywnych konsekwencji wobec innych bytów.



Teraz jednak sprawa wygląda zupełnie inaczej. Teraz nie jest to rzecz samej Ana. Jest to tym razem misja, której cele są określone. Zaufano jej, licząc na wiedzę i wibracje. Ale w konsekwencji pomysłodawcy liczą też, że udział Ana w tej misji przyniesie określony skutek. I oczywiście żaden ze światów się nie zawali, nawet Ziemia, na którą się wybiera, jeśli w trakcie misji zwątpi w jej sens, wystraszy się zaplanowanych dla siebie działań. Wiadomo przecież, że życie na Ziemi nie należy do łatwych, a już dla nauczycieli wszelkiej maści zawsze było ono szczególnie kłopotliwe. Na pewno więc za nie wywiązanie się z misji nikt jej nie zgani a tym bardziej nie ukarze. A jednak świadomość, że jest się pękniętym ogniwem zdrowego łańcuszka nie byłoby zbyt atrakcyjnym doświadczeniem. Tego i tylko tego obawiała się Ana. Nie chciała podjąć się czegoś, co mogłoby być niewykonalne. Tym razem nie ma tu tylko własnego interesu. Tu jest coś co ma wpłynąć na wiele istot żyjących i przyszłych mieszkańców Ziemi. To jest ten rodzaj zobowiązań, którego nie wolno jej zawalić.

Ana, gdy Ori zaproponował tę misję, przystała ochoczo, zbyt ochoczo. Jak zwykle wyprzedzała samą siebie. Chciała całą sobą wziąć w tym udział, ale targały nią wątpliwości, czy da sobie radę. Wydawało jej się, że da, ale przecież musiała mieć pewność. W tych wszystkich wątpliwościach pomógł jej niespodziewany przypadek.

Otóż wybrała się dla relaksu, aby nie myśleć przez cały czas o tej misji, na spotkanie z kilkoma przyjaciółmi. Trochę ich ostatnio zaniedbywała więc okazja była podwójna. Nawet do końca nie wiedziała kogo tam spotka, ale uznała, że dobrze jej zrobi takie towarzysztwo. Rozerwie się nieco grając z nimi w jakąś ulubioną grę, trochę się powyglupiają, bo zawsze znajdzie się jakiś kawalarz. Na pewno jej to dobrze zrobi, bo od pewnego czasu zajmowała się jedynie poważnymi sprawami. Należy jej się jakieś urozmaicenie i chwila luzu.

No więc wybrała się i podczas luźnych rozmów z wieloma Energiami, które tam akurat były dowiedziała się mimochodem, że niektórzy z nich też przewidują swój udział w planowanej misji. Wielu z nich nawet już nie mogło się doczekać, tak, że aż emanowali swym pragnieniem. Szczególnie Jat, Bat, Ban wiedli w tym prym. Właściwie to oni tylko o swej misji mówili, zupełnie jak niepoprawne gaduły. Tak jakby nie było innych tematów. A przecież miało to być spotkanie na luzie.

Ana nagle zorientowała się, że ma szansę wybrać się na Ziemię w tak dobrym towarzystwie i być tam pośród wartościowych Energii, na które zawsze mogła liczyć. Gdy to pojęła, pękły wszelkie jej obawy. I wówczas stało się dla niej oczywiste, że innej możliwości nie ma. Ona po prostu podejmie się roli, której się od niej oczekuje. Przecież przy dobrym zaplanowaniu czasu i miejsca może się znaleźć blisko swoich przyjaciół. Ta myśl nie tylko podtrzymała jej decyzję, ale i bardzo ucieszyła.

## *Los Barwą Malowany*



Póki jednak co, Ana postanowiła choć na krótko skoczyć do domu, do dawnych przyjaciół, do rodziny, do której należy od zawsze. Dłuższy pobyt tam odroczy się co prawda w czasie, ale na krótko może sobie przecież pozwolić.

Przeniesienie się w rejon Plejad zabrało jej zaledwie chwilę. Nieco więcej czasu i wysiłku musiała poświęcić na dostrojenie się do panujących w tamtejszym świecie wibracji. Wibracje w Plejadach nie są zbyt niskie i dlatego materia nie jest aż tak ciężka i gęsta jak na Ziemi. Plejadińskie cywilizacje są już na tyle zaawansowane i posunięte w swej transformacji, że ich wibracje są bardzo subtelne. Oczywiście, nie są one jednak tak subtelnej natury jak wibracje światów duchowych. Są to w końcu światy materialne, choć dla Ziemiaków na pewno niewidzialne. Ale jednak są światami materialnymi, a więc mają swoją określoną gęstość. Ponieważ ich materia jest raczej subtelna, wchodzi w rachubę możliwość dość łatwego dostrojenia się do niej. Daje to możliwość bardzo płynnego kontaktu Plejadiaków z innymi światami, zarówno tymi o niższej, jak i wyższej wibracji. Nie ze wszystkimi oczywiście, ale z bardzo wieloma, tymi, co do których nie odstają wibracyjnie zbyt mocno.

Umiejętność dostosowania się Plejadiaków do innych częstotliwości jest ich wielkim skarbem. Może nie wszyscy mieszkańcy tego świata opanowali to do perfekcji, może nie ze wszystkich planet. Generalnie jednak większość to potrafi. A już na pewno potrafią to ci, do których zmierzała Ana. Ona sama posiadała również tę umiejętność. I skorzystała z tego chętnie.

Gdy tylko obniżyła swą częstotliwość do poziomu, który zapewniałby jej pełny kontakt z przyjaciółmi, zaczął się przed nią wyłaniać przepiękny, dawno nie widziany widok. Najpierw jej oczom ukazały się największe gwiazdy, bijące silnym, jasnym blaskiem. Po chwili dołączyły kolejne o mniejszej jasności i wielkości. Wszystkie razem otoczone były jakby aurą emanującą w przestrzeń żywym niebieskim kolorem. Najbarwniejszym był jednak jeden z dolnych rejonów tego świata, w przestrzeni pomiędzy kilkoma małymi gwiazdami. Przestrzeń ta przepelniona była feerią cudownych refleksów świetlnych. Odcienie fioletów przechodziły do coraz to innej barwy, po czym znikwały i odradzały się w zupełnie innej gamie kolorów. Stąd tak niesamowity widok, bo raz była to fioletowa mgła, która po chwili stawała się żółtawą poświatą, a innym razem kalejdoskopem niebieskości przechodzących w pełną tęczę. Widać było że tam, wśród tych gwiazd, do których przybyła, ktoś wyraźnie bawił się w malarza. Ana doskonale wiedziała, że takich artystów było tam wielu.

Ana nasyciła się pierwszymi widokami, po czym podążyła głębiej, w rejon jednej z planet. Tam był jej dom i tam jej najbliżsi. W pewnej chwili pojawił się na jej drodze obraz, na który czekała z utęsknieniem. Z jednobarwnej, ciemnej, niemal czarnej przestrzeni, na której pobłyskiwały odległe malutkie gwiazdki wyłaniała się jakby dziura w niebie, z której wydostawało się piękne, zielonkawe światło. Nie była to jednolita zieleń. Była to subtelniutka, żywa mgielka zieleni pomieszanej z bielą i łagodną żółcią, a na

obręczach okraszona innymi barwami, szczególnie brązem, który stanowił jakby łagodną formę przejściową pomiędzy *dziurą* i jej otoczeniem. Z miejsca, z którego patrzyła Ana, wyglądało to jak okno w mroku, przez które wзира jakiś świat. I rzeczywiście w tym miejscu był jakiś świat, jej świat. Co prawda nie była to żadna dziura w niebie, ale zwykła gra kolorów, niemniej Ana, po raz nie wiadomo który fascynowała się tym widokiem i za każdym razem miała to samo wrażenie dziury, a w niej inny, piękniejszy świat.

— Sentymenty — zastanawiała się Ana? — Chyba tak. I na pewno tęsknota. Przecież doskonale wiem, że ta niby dziura to atmosfera mojej planety, że widok jest złudzeniem. Ale jednak chcę ten widok interpretować właśnie w taki sposób. Tak to czuję najlepiej, najpełniej.

Jak długo trwał jej niemy zachwyt? Nie wiadomo. Jak zawsze, gdy zagłębiała się w siebie, znikało wszystko inne. I choć czasu w Zaświatach nie ma to jednak jakieś subtelne poczucie trwania jest zauważalne. W takich jednak chwilach nawet to poczucie gdzieś zanikało. Była tylko ona i jakaś nieskończona więź z tym co obserwowała. Jednoczyła się z tym, co obserwowała i nawet nie zauważała momentu, gdy z obserwatora stawała się swoją obserwacją. Cechę tę, odkąd pamięta, miała od zawsze. Była to jej tak integralna cecha, że nie rezygnowała z niej nawet wtedy, gdy inkarnowała. Gdziekolwiek by to nie było.

Podczas tego trwania zastanawiała się jednocześnie nad wieloma sprawami. No cóż, w Zaświecie wielowątkowość jest tak naturalna, że nie było żadnych przeszkód, by podjąć kilka spraw naraz. A, że było kilka istotnych dla niej rzeczy, zajęła się nimi w tej samej chwili.

Przed wszystkim wracał ciągle temat tego, czego dotyczy misja ziemską, w której wraz z innymi zobowiązała się wziąć udział. Oglądała temat z coraz to innej strony. Nawet nie po to, by ocenić swoje szanse i cel uczestnictwa. Raczej tak w ogóle. Planowana akcja była bezprecedensowa i chyba w historii Ziemi nie miała nigdy miejsca. A zarazem pomysł był genialny w swojej prostocie.

— Ciekawe, kto to wymyślił — zastanawiała się Ana? — Musiał to być ktoś o ogromnej wyobraźni, a jednocześnie wielkiej sile i wibracji, by zaszczerpić pomysł innym. Czyżby Isa? On zawsze miał ogromną wyobraźnię i wiele miłości do wszystkiego.

Ana uwielbiała go za tę jego mądrość i życzliwość. Właściwie, z racji swej natury nie musiał nic robić, a jednak był bardzo zaangażowany. Ana marzyła również, aby kiedyś taką być. Wymagało to dużo pracy i zaparcia. Na razie widać było, że chyba jeszcze jest za wcześnie. Co zaś będzie w przyszłości? Okaże się.

— A tak w ogóle, to jak ja sobie wyobrażam mój pobyt na Ziemi — zastanawiała się dalej Ana? — To, że tam się wybiorę, jest pewne i nieodwołalne. Zrobię to zresztą z radością, bo taka gratka, aby osobiście uczestniczyć w zdarzeniach, które mogą wstrząsnąć planetą w jej najgłębszych podstawach, nie zdarza się często. Kiedyż tak było ostatni raz? Oj dawno, bardzo dawno. Zapewne nawet nikt tego na Ziemi już nie pamięta, a i dowody materialne poszły w niebyt. Wtedy też byłam w środku rewolucyjnych zmian, ale byłam wówczas też o niebo głupsza niż teraz i moje uczestnictwo było bierne. Byłam po prostu jedną z tłumu, osobą, dla której inni się starali. Skoro więc ja wtedy zyskałam, a po nas całe pokolenia, to chyba gra jest warta zachodu. Dlatego właściwie nie mam

## Los Barwą Malowany

żadnych oporów przed uczestniczeniem w podobnych wydarzeniach, tym bardziej, że teraz mam możliwość wystąpić po innej stronie, po stronie rewolucjonistów. Już się cieszę na samą myśl.

— Ale skoro już tam będę — ciągnęła swój wątek Ana, — dobrze by było skorzystać też maksymalnie z tego, co może mi dać wcielenie w materię. Każda okazja do doładowania i podniesienia swojej wibracji jest dobra. Trzeba więc to nowe *życie* wykorzystać w sposób optymalny. Muszę sobie dobrze to zaplanować, aby doświadczyć takich rzeczy, które dotychczas mnie omijały, aby doznać takich uczuć, które były mi dotychczas obce. Nie chcę zrobić żadnego błędu. Mój scenariusz musi być doskonały i w pełni zindywidualizowany. Nie mam ochoty na żadne powtórki, tym bardziej, że tym razem będzie to chyba naprawdę moja ostatnia ziemską inkarnacją.

— A tak w ogóle to coś mi się wydaje, że mój wypad w Plejady trzeba będzie skrócić do minimum. Niektórzy uczestnicy naszej misji zapewne już się wcielili, więc nie za bardzo mogą zwlekać. Mam przecież chyba jeszcze zbyt wiele do zrobienia i przemyślenia, nim zapnę wszystko na ostatni guzik.

— Ha, ha, ha, ten guzik to mi się udał — zaśmiała się do siebie Ana. — Guziki w Zaświatach. Chyba do zapinania tych *sukien* niewidzialnych. Pomijam już fakt, że tego nie widzicie, ale przy odrobinie fantazji możecie to sobie wyobrazić. Jest więc duch, czyli ja, który jest ubrany, jeśli tak mogę powiedzieć, w coś co wygląda na suknię, a na pewno nią nie jest. To tylko takie złudzenie. No i to złudzenie można by zapiąć na guziki. No pięknie, ale wymyśliłam.

— Niemniej, mimo całej tej humorystycznej sytuacji, temat wygląda zbyt poważnie, aby go zlekceważyć. Chyba muszę poświęcić mu więcej, znacznie więcej uwagi. A Plejady — zastanawiała się Ana? — Trudno, poczekają. Zresztą i tak osiągnęłam dużo. Jestem tu przecież i zachwyam się tą obecnością. To przecież właśnie w obliczu tutejszych widoków uświadomiłam sobie ważność i wyższy priorytet mojej misji nad sentymentami. Mimo wszystko jednak, jestem wdzięczna sobie, że tu przybyłam choć na krótką chwilę. Powroty do miejsc z dzieciństwa zawsze budują, niezależnie od tego gdzie to miejsce się znajduje i kiedy się do niego wraca.



Ana pozostawiła Plejady już dawno za sobą. W pewnym momencie odwróciła się jeszcze na chwilę, aby zachować choć trochę z niknących widoków i fioletowych refleksów. Musiało jej to wystarczyć na długo. Musiało być siłą w niedalekiej przyszłości.

Andrzej Bednarz



To miejsce, jak żadne inne w Zaświatach, nadawało się do przygotowań przed czekającą ją inkarnacją. Szczególnie taką inkarnacją. Co prawda jako takie nie do tego służyło, ale teraz było jak najbardziej odpowiednie. Miało wszystkie walory, dzięki którym mogła skorzystać z jego mocy by wzmocnić się, podbudować i uzyskać każde możliwe wsparcie energetyczne i duchowe, które pomoże jej w niedalekiej przyszłości. Niektórzy miejsce to nazywają Wielkim Kryształem.

— Wyobraźcie sobie — wyjaśnia Ana, — że gdzieś w Zaświecie, w bliżej nieokreślonym miejscu jest pewna przestrzeń o niewiarygodnym wręcz ani dla was, ani nawet dla większości z nas potencjale energetycznym. Jest jakby innym światem w świecie Energii, w którym panują wibracje o zupełnie odmiennym charakterze niż cała reszta. Te wibracje są pełne mocy, piękne i przepelnione niewyobrażalną wręcz miłością. Jest to miejsce, które swoją odrębnością nie określa swej wyższości wobec innych rejonów, ale jest miejscem, do którego ma dostęp każdy i w każdej chwili. Jego funkcją jest wspieranie wibracyjne tych, którzy tego potrzebują i pragną. I każdy to wsparcie może uzyskać. Można z niego skorzystać, gdy okoliczności tego wymagają, gdy sprawy wydają się przerastać czyjeś możliwości, gdy coś się wymyka spod kontroli. Pobyt w tym miejscu koi wszelkie wątpliwości i wspiera chęci, nawet wtedy, gdy cel wydaje się odległy.

— Nigdy nie czułam potrzeby, aby z tego miejsca skorzystać. Jakoś dotychczas nie było mi to potrzebne. Miewałam swoje słabości i chwile zwątpienia, ale zawsze umiałam sobie samodzielnie dawać z tym radę. Wolałam to, bo zawsze ceniłam sobie swoją siłę bardziej niż pomoc z zewnątrz. Nie były to przecież sprawy na tyle ważne, by sięgać aż do tego miejsca. Mogłam sobie pozwolić na rozłożenie tego w czasie i na pewne ryzyko, że coś wyjdzie lub się z tym nie uporam.

— Jak wspomniałam — kontynuuje Ana — wolno tam wejść każdemu, zawsze kiedy chce. Nie jest to jednak w dobrym tonie, by korzystać z tego miejsca przy byle okazji. Byłoby to pójściem na łatwiznę. W świecie naszym zmierzamy własnymi drogami ku perfekcji i mylenie się, eksperymentowanie jest cenione wyżej niż ślepe i bezbłędne parcie do przodu za wszelką cenę. Dlatego też, podobnie jak i inni, nie przybyłam do tego miejsca nigdy dotąd. Właśnie dlatego, że nigdy sytuacja nie wydawała mi się na tyle trudna, że nie mogłam dać sobie z nią rady. A miejsce to przecież z założeń swoich miało być z jednej strony ostoją dla tych, którzy zagubili wątek swojego istnienia, z drugiej zaś było jakby generatorem siły i miłości, gdy w jakichś okolicznościach komuś ich brakuje.

— I właśnie teraz stanęłam pierwszy raz przed taką dziwną i trudną sprawą. Przed czymś, co być może sama bym spokojnie rozwiązała i bezbłędnie zrealizowała. Ale miałam pewność, że jest mi potrzebne wsparcie energetyczne, że potrzebuję jakby kopa, aby, czy ja wiem — zastanawia się przez chwilę Ana — aby bardziej uwierzyć w siebie? A może po prostu podnieść w decydującym momencie swoje wibracje? No, nie wiem. Wiem tylko tyle, że po prostu uznałam, że właśnie teraz chcę się tam wybrać i, że jest mi to potrzebne.

### *Los Barwą Malowany*

— Aby dotrzeć do tego miejsca nie potrzeba wiele. Wystarczy wielkie pragnienie, że chce się tam dostać. I wówczas miejsce to jak magnes samo przyciąga tego, kto swoje pragnienie wyraził. Nie trzeba znać drogi, nie trzeba martwić się czy się tam trafi lub przypominać sobie jak kiedyś się trafiło. Bo to się dzieje samoczynnie. Po prostu się leci, doskonale wiedząc dokąd. Niesamowite uczucie i wrażenie, że ktoś lub coś cię przyciąga i prowadzi.

Miejsce to, co już widać z daleka, wydaje się nieznacznie odgraniczać od otoczenia. Nieznacznie jest tu chyba właściwym określeniem. Nie ma tam żadnej wyraźnej granicy między Wielkim Kryształem a tym, co poza nim. Jest raczej coś, co sprawia wrażenie, że w pewnych miejscach jest coś, a w innych jest coś zupełnie innego. Ta niby granica, jak i zresztą cały Kryształ, ma na tyle subtelną naturę, że tylko dzięki dużej wrażliwości własnej można cokolwiek zauważyć. Ana nie miała czasu się nad tym zastanawiać, ale przez chwilę wydawało jej się, że właśnie ta indywidualna wrażliwość pozwala się również dostać do wnętrza kryształu.

Dlaczego miejsce to nazywano Wielkim Kryształem? Zapewne dlatego, że jego kształt był niemal doskonały. Miał w sobie coś szlachetnego w swej strukturze i wydawał się być jedynym w swej postaci. Przypominał dwie piramidy odwrócone do siebie podstawami i jakby zespolone w tych miejscach, przypominając kryształ diamentu. W ten sposób stawały się jakby jednym tworem o nieskazitelnie czystych, błękitno białych ścianach, koloru szlachetnego akwamarynu. Błękit ten był jednak iluzoryczny, był, ale jakby go nie było. Był barwą i wibracją, ale ścian kryształu nie było jakby w ogóle. Cały kryształ był zresztą taki, mniej lub bardziej realny. Ana mimo wszystko była pewna, że tam jednak coś jest, bo to coś ją przyciągało a następnie wciągało do wnętrza. To ostatnie miało podobną kolorystykę, wibrację i subtelności. Dzięki temu całość zaczynała stawać się coraz bardziej wyrazista.

Trochę zdumiona i oczarowana Ana rozglądała się przez chwilę po wnętrzu kryształu. Nie przypominało to niczego, co do tej pory widziała. Znajdowała się jakby we wnętrzu jakiejś budowli. Zewsząd otaczały ją błękitnawe ściany, widziała wiele korytarzy biegnących w różnych kierunkach i jednocześnie czuła, że otacza ją nie realna, namacalna budowla, ale raczej urzeczywistniona miłość. Wiedziała, że czegoś takiego powinna się spodziewać, bo po to tu przecież przybyła, lecz mimo wszystko zaskoczyło ją to do tego stopnia, że znieruchomiała z zachwyty. Tym bardziej, że kryształ przestał ją już przyciągać. Teraz wszystko co mogła robić i robiła było w jej gestii. Mogła tkwić nadal w tym samym miejscu, mogła pójść dowolnym z niezliczonych korytarzy, mogła też opuścić kryształ. Była na tyle oszołomiona swoim położeniem, że nawet nie pomyślała, by o czymś zdecydować. Po prostu zamarła w jednym miejscu i trwała tak przez dłuższy czas. Nie czuła potrzeby przemierzania korytarzy i nawet nie interesowało jej co się za nimi znajduje. Na wyjście też było za wcześnie. Po prostu trwała, obserwując komnatę, w której przebywała, refleksy w ścianach i na ścianach, swoje odbicie na jednej z nich jak królowa śniegu w swoim pałacu. A jednocześnie przez cały czas chłonęła niczym gąbka otaczającą ją miłość, moc i inne piękne wibracje, dla których tu przybyła. Bardzo ich potrzebowała.

Jak długo to trwało? Dość długo, choć wydawać by się mogło, że króciutko. Na tyle jednak długo, że w tym samym czasie przepłynęło przez komnatę, wchodząc i wychodząc

*Andrzej Bednarz*

z Kryształu wiele Energii, które podobnie jak i Ana przybyły tu po wsparcie. Każde z przybyłych miało inne potrzeby i inną motywację, ale Kryształ umiał ich obdzielić mądrze i zgodnie z potrzebami każdego z nich. Wśród przybyłych były też, ku zdziwieniu Ana, istoty uwiązane jakby na cieniotkich, długich w nieskończoność nitkach.

— Czyżby...? — zastanawiała się Ana. — Czyżby oni również mogli tu przybywać? Muszę to sobie zapamiętać.



— Kma jest wielką, piękną wibracyjnie Energią — podjęła swą opowieść Ana. — Jest jedną z tych nielicznych bytów, które zostały stworzone od razu w swej pełnej doskonałości i z całkowitą wiedzą na temat swojego dziedzictwa. A przypominam, że tym dziedzictwem jest jej boskość. I Kma od zawsze wiedziała kim jest, a wszelki rozwój, taki jaki przynależy większości Energii, jest dla niej zbędny. Ona nie potrzebowała doświadczać siebie na ileś tam sposobów. Ona po prostu jest sobą i wie o tym doskonale. Żadne doświadczenie nie ma możliwości cokolwiek do tego dorzucić. Takich doskonałych Energii jest niewiele. Z tylko sobie znanych powodów Bóg stworzył je i dał im pełną świadomość ich boskości. Nie mogę autorytatywnie stwierdzić jaki był cel, że te byty są tak odmiennej natury niż my. Bo po prostu tego nie wiem. Mogę się jedynie domyślać powodów tego stanu rzeczy. Otóż wydaje mi się, że te doskonale pod każdym względem Energie są takimi dlatego, aby mogły służyć wsparciem i pomocą tym wszystkim, którzy cierpliwie, życie po życiu, przywołują do świadomości to, co zostało w nich przez Boga zakryte. Już wcześniej o tych sprawach wspominałam. Tak więc te Energie służą nam pomocą, abyśmy realizowali postawione przed nami cele. I dlatego też muszą być doskonałe, by z jednej strony wiedzieć wszystko na temat wszystkiego. Z drugiej zaś mogą się zająć tym do czego zostały stworzone bez rozpraszania się indywidualnie na inne sprawy.

— Gdy mówię o pewnej pomocniczej roli, nie mam na myśli kogoś w rodzaju opiekuna lub przewodnika. Nie, zupełnie nie. Mam na myśli działania, które służą każdej Energii, niezależnie od jej aktualnych potrzeb i możliwości. To działanie to jakby umiejętność zebrania wszystkiego co na temat pojedynczej Energii wiadomo, to wiedza o innych Energiach, to wreszcie znajomość praw boskich i planetarnych. Jednocześnie jest to umiejętność zespolenia tego wszystkiego w jednym miejscu i chwili, po wcześniejszym przewidzeniu jak to połączyć, by osiągnąć określony skutek.

— Czasami zastanawiam się, czy Kma to pojedyncza Energia? Obserwując jej pracę i korzystając wielokrotnie z jej usług miałam za każdym razem wrażenie, że mam do czynienia z konglomeratem energetycznym. To tak jakby pozornie był to jeden byt, ale w rzeczywistości składający się z wielu, bardzo wielu elementarnych Energii, z których każda jest doskonała i mimo swej indywidualności zestrojona i zespolona z pozostałymi. Ma się więc do czynienia z typową jednością w wielości. Jest mi trudno samej to zrozu-

### *Los Barwą Malowany*

mieć, bo wiedza ta nieco przekracza moje obecne możliwości. Mam jednak choć mgliste pojęcie i na swój własny użytek czuję, że pojmuję tę sytuację. Nie umiem jednak w żaden sposób tego wam wytłumaczyć. Przyjmijcie więc najprostszą próbę opisanie Kma. Jest to więc istota, która jest organizmem wspólnym wielu innych istot, które poprzez cel, dla którego istnieją zachowały indywidualizm, ale złąły się w jedno. I tyle. Nie będę bardziej komplikować.

— Czym więc tak naprawdę zajmuje się Kma? — wpada w swoje własne słowa Ana. — Kma jest bytem, który pomaga tak pokierować zdarzeniami, wibracjami i energiami, aby pojedyncza Energia mogła inkarnować w jakimś miejscu i zrealizować cele, które przed sobą wyznacza. Jej miłość i mądrość są przeogromne do tego stopnia, że dla konkretnych potrzeb potrafi tak wszystko dostosować, aby nie kolidowało nikomu i niczemu. Ilość elementów, które należy wziąć w takiej sytuacji pod uwagę jest tak duża i możliwych kombinacji tak wiele, że z punktu widzenia nas, prostych Energii wydaje się to nie do osiągnięcia. Za każdym razem gdy się nad tym zastanawiam to mam wrażenie, że tego się nie da w żaden sposób poskładać. Tymczasem Kma raz za razem daje sobie z tym radę. Nie mogę powiedzieć, że jest to dla niej banalne. Zapewne czasami jest, innym razem nie jest. Ale na pewno zawsze osiąga to, co miała osiągnąć. Ta jej układanka życiowo-energetycznych puzzli jest świetlistą kombinacją zdarzeń, istot, uczuć, wibracji. Puzzle te są zawsze perfekcyjnie dobrane i powiązane.

— Każda Energia, która ma zamiar inkarnować w jakimś miejscu, w jednym z niezliczonych światów, chce to zrobić w celu zrealizowania jakiegoś swojego indywidualnego doświadczenia. Po prostu dokłada kolejne klocki do swojej budowli istnienia. Tych klocków na osiągnięcie pełni istnienia potrzeba bardzo, ale to naprawdę bardzo wiele. I każda inkarnacja dorzuca kolejne z nich do tych zaliczonych wcześniej. Na taką przykładową inkarnację składa się wiele różnorodnych czynników, których istnienie i współistnienie daje szansę i możliwości realizacji swoich spraw. Są to np. czas i miejsce życia, bardzo dokładnie określone w czasoprzestrzeni jakiegoś świata. Jest to dobór Energii, które współistnieją w danym miejscu oraz ich zadania wobec tej inkarnującej Energii, ich cechy i relacje. Kolejną sprawą jest dobranie okoliczności, w których zaistnieje możliwość zrobienia czegoś, pojawią się pewne uczucia, itd.

— Wszystkie te sprawy trzeba tak dobrać, aby inkarnacja spełniła swój cel. Tu nie ma mowy o żadnej losowości czy przypadku. Nie, Energia chce zrealizować coś, zetknąć się z czymś, poczuć coś, a nie cokolwiek. Dlatego całe jej przyszłe życie jest w pewnym zarysie planowane tak, by spełniło zapotrzebowanie. Nie są to oczywiście plany co do najmniejszego detalu czy drobiazgu. Są to raczej ramy, które w swoim zakresie są nienaruszalne, gdyż to one zapewniają to, czego Energia oczekuje. Natomiast cała reszta jest do indywidualnego dopasowania już w trakcie życia na planecie. Przykładowo, Energia chce doświadczyć wiary we własne siły, by wyluskać z siebie swą boską moc. Może to robić w różnych okolicznościach, począwszy od pokonywania dolegliwości i fizycznych chorób a na problemach życiowych kończąc. I nie ma żadnego znaczenia rodzaj okoliczności, bo mogą ich być tysiące. Znaczenie ma to, że przy każdej z nich sięga się w głąb siebie i swoją wewnętrzną siłą pomaga sobie. Lub nie pomaga. W obu przypadkach ta jakaś konkretna okoliczność dała Energii określone możliwości reakcji.



— Przed każdą z moich licznych, poprzednich inkarnacji — zwróciła uwagę Ana — wchodziłam w bezpośredni kontakt z Kma, by omówić, jeśli mogę się tak wyrazić, wszelkie sprawy związane z samym wcieleniem. Początki były nieco kłopotliwe. Kiedyż to było? Jakże dawno — z nostalgią westchnęła Ana. — Kłopotliwe to było dlatego, że brak mi było elementarnej wiedzy na temat i sposobu organizowania takiej inkarnacji, umiejętności określania czego chcę i wielu innych detali istotnych dla naszego wzajemnego zrozumienia. Bo z jednej strony ja byłam zielona, a z drugiej Kma musiała wiedzieć wszystko, co miało mnie dotyczyć, zanim podejmie wysiłek planowania i wdrażania elementów mojego przyszłego wcielenia. Wszystkie te szczegóły żmudnie dopasowywałam, a Kma cierpliwie i z miłością je ze mnie wyciągała. I chyba tylko ta jej bezgraniczna miłość zapewniała sukces całego przedsięwzięcia. Spróbujcie sobie wyobrazić stworzenie czegokolwiek dla jakiejś ciapy, która sama nie wie czego chce. Kma jednak wychodziła z każdej takiej sytuacji obronną ręką. W końcu nie byłam pierwszą i jedyną niezorientowaną Energią, która coś chciała, ale co, to określić już nie umiała.

— Być może macie jakieś wątpliwości co do możliwości Kma. No, bo jakże tak? Jedna Energia a tylu chętnych? Jak ona temu podoła, nie pogubi się, obsłuży wszystkich? I tu jakby macie rację, ale tylko jakby. Otóż zapewne zupełnie nie bierzecie pod uwagę tego prostego faktu, że pojęcie wielkości i możliwości takiej Energii wystaje znacznie poza możliwości waszego ziemskiego rozumu. To nawet dla nas jej wielkość jest oszałamiająca, dla nas, których percepcja sięga niekiedy niemal nieskończoności. A cóż dopiero dla was, gdy ziemska materia zablokowała wam horyzonty i pamięć. Nie próbujcie nawet tego objąć waszym umysłem. Nie da się. Musicie temu albo zawierzyć, albo zwątpić w moje słowa. Możecie też uważnie obserwować życie wokół was a zapewne zauważycie, jak nieprawdopodobnie splatają się niekiedy losy ludzi i zdarzeń, gdy pojawiają się sprawy, które dotyczą tylko was, i wiele innych rzeczy. To właśnie zasługa Kma, która na waszą prośbę i za waszą aprobatą opracowała większość z tych spraw.

— Decydując się na kolejną inkarnację miałam w perspektywie sesję u Kma. Sesję organizacyjną, a więc bardzo ważną dla mnie, bo od tego co tam ustalimy zależeć będą podejmowane przez Kma wysiłki we wpasowaniu mnie w istniejący układ na Ziemi a następnie zorganizowanie moich przyszłych okoliczności życiowych. Moje dotychczasowe sesje tego typu, sprzed minionych inkarnacji, nauczyły mnie tego, co w takich ustaleniach jest ważne. Byłam już w tych sprawach o wiele mądrzejsza, o poprzednie doświadczenia i dlatego postanowiłam uprzedzić fakty i przygotować niektóre sprawy przed wizytą u Kma. W końcu niektóre sprawy byłam w stanie sama sobie załatwić a potem tylko przedstawić je Kma. Może nie było to powszechne podejście do sprawy, ale jednak dopuszczalne, a ja zawsze lubiłam decydować sama o sobie. Przede wszystkim chciałam porozmawiać z niektórymi Energiami, czy mogłyby inkarnować wraz ze mną. O niektórych z nich wiedziałam, że nie pójdą na to, bo np. Isa i Ori już wtedy, przy Ziemi, opowiedzieli się za innym swoim udziałem. Co do pozostałych to musiałam je zapytać. Z wieloma znałam się od tak dawna, że chętnie wybrałabym się z nimi we wspólną podróż, choćby nawet były to tylko krótkie chwile spędzone razem, muśnięcie wzrokiem na ulicy, wzmianka w prasie. Z innymi chciałam być na co dzień. Byli mi niemal od zawsze tak bliscy i życzliwi, że ich obecność byłaby wielką, choć później na Ziemi nieświadomą podporą.



Był już czas po temu, aby zacząć przygotowywać się do obiecanej Ori inkarnacji. Minęło sporo czasu od pamiętnej rozmowy z nim, tej, która zdecydowała o najbliższych planach Ana. Nie zmarnowała ona tego czasu, bo poświęciła go na moralne i energetyczne wsparcie siebie oraz swoich planów. Teraz jednak naturalnym rytmem przyszedł czas na konkrety.

— Od czego by tu zacząć — zastanawiała się Ana? — Chyba tak jak to robiłam zwykle, czyli od dobrania sobie opiekuna, który będzie miał pieczę nad mną podczas pobytu na Ziemi. Jednak na początek, zanim opowiem jak się to odbyło, należy wam się nieco informacji na temat *Opiekuna*, zwanego przez was niekiedy Opiekunem Duchowym czy Aniołem Stróżem. W końcu jest to najważniejsza postać waszego wcielenia. Nikt inny, a właśnie opiekun.

— Otóż — kontynuował Ana — opiekun duchowy jest to Energia, która prowadzi człowieka przez życie. Jest ona cały czas przy nim, pomaga mu w trudnych chwilach, choć ten o tym nie wie. Od siły i energii opiekuna duchowego mogą zależeć wydarzenia, które toczą się wokół tej osoby. Jednak nie do końca. Otóż opiekun duchowy nie może ingerować we wcześniej zaplanowane życie człowieka. Jeżeli ten chciał osiągnąć wysokie wzmocnienie energetyczne to jego życie może być trudne, pełne bólu. Opiekun duchowy będzie dbać o to, aby dana osoba nie zбочzyła z wcześniej obranego kierunku, nie została opanowana przez złe emocje. Będzie również podsuwał tej osobie pozytywne myśli tak, aby mogła ona zrealizować swój cel. Czasem jednak opiekun niewiele może zrobić, szczególnie, jeżeli osoba zbyt daleko odeszła od tego co było jej przeznaczone albo zbyt oderwała się od świata duchowego. Bywa też i tak, że jest on zbyt słaby, by móc skutecznie pomagać w trudnych sytuacjach.

— Kolejną rolą opiekuna duchowego jest umożliwienie powrotu duszy w Zaświat. Czasami jest to trudne, co ma miejsce wówczas, gdy dana osoba zbyt mocno związała się ze światem materialnym, jego dobrami i przyziemnymi emocjami. Opiekun duchowy pomaga odwrócić się w kierunku światła, przekroczyć granicę pomiędzy wymiarami i ostatecznie zerwać ze światem materialnym. Opiekun duchowy to Energia, która z wolnego wyboru chce prowadzić daną osobę przez życie. Nikt jej tego nie nakazuje, nikt jej nie zmusza. Robi to wyłącznie z miłości do tej osoby i chęci niesienia jej pomocy. Bycie opiekunem to funkcja odpowiedzialna. Jest ono przejawem najwyższej miłości i dobrej woli, jest wyrazem zrozumienia i chęci pomocy, ponieważ Energia, która jest opiekunem duchowym jest wzorem, do którego dąży Energia w materii.

Jest ona zatem większa niż ta, która jest w ciele ludzkim. Nie może być jednak dużo większa, gdyż zadanie osiągnięcia zbyt dużej wibracji mogłoby przekraczać możliwości człowieka. Osoby, które mają opiekuna duchowego, a szczególnie te, które mają go silnego, zwykle odczuwają głęboki związek z niematerialną częścią życia, światem duchowym, wiarą.

— Zdarzają się też osoby, — westchnęła ze smutkiem Ana — które nie mają opiekuna. Ludzie tacy często zagłębiają się w poznawanie materialnej, typowej dla Ziemi strony życia. Nie wierzą oni i nie widzą związków pomiędzy światem duchowym a materialnym. Nie oznacza to oczywiście, że każda osoba o takich materialnych zainteresowaniach nie posiada swojego opiekuna. Dlaczego niektórzy nie mają opiekuna? Najczęściej pojawiają

## *Los Barwą Malowany*

cą się przyczyną jest to, że osoby takie musiały kiedyś wyrządzać dużo zła innym osobom lub prowadzić życie pełne egoizmu, tak, że inne Energie odwróciły się od nich.

— Tutaj w Zaświatach tworzymy społeczność. Nie jest to co prawda taka sama, ani nawet podobna społeczność jak wasza, jednak łączą nas pewne więzi. Mamy więc swoich bliskich, tych, których kochamy, choć oczywiście kochamy się także nawzajem. Nie ma zatem w tym nic dziwnego, że gdy jeden z nas wyrusza w *podróż*, aby powiększyć swój ładunek to ci, którzy go kochają, chcą mu w tym pomagać. Tym bardziej, że opiekun nie traci nic podczas swojej opieki. Doznaje on jedynie podobnych uczuć, jak osoba, którą się opiekuje. Gdy ona cierpi, on także cierpi, gdy ona cieszy się, on także się cieszy. Jest to wielka wspólnota uczuć. Opiekun nie może jednak powiększyć swojej Energii, jako, że bytuje w świecie idealnym, nie musi więc podejmować decyzji, nie doświadcza materialnych uczuć oraz niewiedzy.

— Opiekun duchowy opiekuje się zazwyczaj tylko jedną osobą na raz i jest to osoba, z którą wiążą go pewne uczucia. Zdarza się oczywiście, że będąc opiekunem duchowym pomaga on innym, np. w przejściu w Zaświat. Jest to jednak rola krótkotrwała i nie wiąże się z dłuższym opuszczeniem osoby, którą się opiekuje. Być może wydaje się wam, że rola opiekuna jest pewną udręką? Zapewniam was, że nie jest.

Po pierwsze, jesteśmy nieśmiertelni i wieczni, opiekunowie też, a chwilka spędzona w ciele człowieka to jedynie nieznaczący moment. Tym bardziej dla opiekuna, którego wasz czas nie dotyczy. Tak więc nawet 120 lat ziemskiego życia jest chwilką dla Zaświatu. Po drugie, jest to zajęcie bardzo ciekawe i uczące, podczas którego opiekun odczuwa wiele uczuć doznawanych przez daną osobę oraz przeżywa również wiele ciekawych sytuacji. Jest to więc swego rodzaju przygoda. Różni się ona jednak od tej przygody, jaką przechodzi osoba w ciele. Zilustrujmy to obrazowo. Wy jesteście rzeczywisci, rzeczywiscie cierpicie, doznajecie uczuć, podejmujecie ważne decyzje. Opiekun jest jak widz w kinie, który może się emocjonować, przeżywać ciekawe momenty, a także porażki. Jednak na niego samego nie ma to żadnego wpływu i on także nie ma na was wpływu, nie licząc tego, co podszeptuje wam do ucha. To wszystko jednak mieści się we wcześniej ustalonym scenariuszu. A wracając do sprawy ilości osób pod opieką. Jest to podobne przeżycie co oglądanie dwóch filmów na raz. Oczywiście jest ono wykonalne, jednak w praktyce nie stosowane.

Ponieważ wyboru opiekuna dokonuje się przed wejściem w ciało to możecie być pewni, że jest on dla was odpowiedni. Pamiętajcie jednak, że wszystko to, co was spotka w życiu, zależy przede wszystkim od was samych. Planując sobie życie możecie uczynić je prostym i wygodnym lub znojnym i pełnym bólu. Jeżeli jesteście na tyle ambitni i nie boicie się, wybieracie tę drugą opcję. Jeżeli nie chcecie zbyt dużo wycierpieć to wybieracie łatwiejsze życie. Nad realizacją tego wszystkiego czuwa jeden i tylko jeden opiekun. Jest on jak reżyser, który pilnuje, aby aktorzy nie odeszli zbyt daleko od scenariusza. To wy jesteście tymi aktorami i nigdy nie wiadomo czy poradzicie sobie z rolą. Tak więc wiecie już, że macie jednego, odpowiedniego do waszej roli opiekuna. Macie też wielu takich, którzy ściskają za was kciuki. Człowiek bowiem zazwyczaj ma kilka bliskich osób, które znajdują się w Zaświatach i czekają na jego powrót. Są to np. członkowie jego rodziny z tego lub poprzednich żyć. Oni także emocjonują się jego przeżyciami, martwią się jego

## Po drugiej stronie lustra

*Żyłem, kochałem i cierpiałem  
z wami. Teraz żyjcie, kochajcie,  
cierpcie sobie sami.*

— No i po strachu — z ulgą pomyślał Jacek tuż po opuszczeniu ciała. — Nic nie bolało, żadnych oporów. Po prostu dokonało się. Kiedyś śniło mi się, że umieram i przyszła po mnie świetlista istota. Uznałem ją wtedy za śmierć, ale jednocześnie odbierałem ją jakoś dziwnie pozytywnie. Doszedłem wtedy do wniosku, że skoro tak, to nie mam powodu się bać śmierci. Teraz okazuje się, że było nawet łatwiej i przyjemniej niż oczekiwałem, że będzie. Dotychczas wydawało mi się, że będzie dobrze, ale jednak gdzieś niewielka nutka niepewności i przekory pozostawała. Teraz jednak widzę, że nie było czego się obawiać. Żeby tak inni mogli wiedzieć przed śmiercią, że nie jest ona przykrością a wręcz przeciwnie, radością. Tylko... kto im to ma powiedzieć, skoro niewielu świadków tego zdarzenia wraca z powrotem? A swoją drogą to cieszę się z wyboru świadków mojego ostatniego tchnienia. Żaden z nich nawet nie próbował przeszkadzać w mojej decyzji, co przecież stało się chorobą ludzkości. Pozwolili mi odejść uznając to za naturalne i zgodne z moją wolą. Przez chwilę miałem wątpliwości czy to uczynią i gdzieś podświadomie bałem się tego. Pamiętam nadal tę kobietę, która umierała ze zwykłej starości. Jej bliscy powinni pozwolić, aby los się dokonał. Tymczasem córka w ostatniej chwili, gdy tamta już była jedną nogą po drugiej stronie, szarpnęła ją za rękę z rozpaczą: *nie odchodź*. Staruszka wróciła, ale te kilka zyskanych dni spędziła w milczeniu, smutku i rozpacz, bo zdążyła już zobaczyć co ją czeka a nie było jej tam dane wejść. Po paru dniach umarła, zwracając się tym razem do córki: *niepotrzebnie mnie zatrzymywałaś*.

Uspokoiwszy się na tyle, że mógł zebrać myśli, zaczął Jacek obserwować swoje nowe otoczenie. No, może niezupełnie nowe, ale na pewno z innego punktu widzenia. Przede

wszystkim uwagę jego przykuło ciało leżące na łóżku. To było jego ciało. Ups, to do niedawna było jego ciało, teraz zaś już nie miał do niego żadnych praw, no, może poza sentymentem i wspomnieniami. Z ciekawością, ale i zaskoczeniem odkrył, że się ono nie rusza, ani trochę. A przecież nawet we śnie dawało pewne ruchy, wynikające choćby z ruchów klatki piersiowej przy oddychaniu. A teraz? Zupełnie nieruchome. Zaczął mu się więc uważnie przyglądać, bo od razu zauważył, że wyraźnie różni się ono od tego, co widywał w lustrze. Najwyraźniej rzucało się w oczy to, że ciało jakby urosło. Było jakby dłuższe niż dotychczas.

— Bez przesady — zdziwił się, — przecież nie urosło? Wobec tego skąd to wrażenie? Zaraz, zaraz, coś mi się przypomina. Dokładnie to samo zjawisko obserwowałem po śmierci dziadka. Nieduży, przygarbiony człowiek urosł po śmierci na tyle, że ledwie go upchnęli w trumnie. Oba te przypadki potwierdzają więc tezę, że duch kreuje ciało i wpływa na niego. Wszystkie te problemy życiowe, nierozwiązane sprawy, napięcia emocjonalne i ciężar codzienności powodują przykurcze ścięgien i mięśni, a w efekcie potrafią zdeformować sylwetkę. I nagle po śmierci, gdy ciało pozostawia się samemu sobie, bez nadzoru duszy, prostuje się ono, bo puszcza napięcia. No to wszystko jasne.

— A z drugiej strony — kontynuował swoje obserwacje — szpetne to ciało jakies takie. Nigdy do pięknych nie należało, ale z grubsza można było przyjąć, że patrząc na nie miało się przyjemne odczucia. Tymczasem teraz muszę przyznać, że jest ono po prostu szpetne. Czyżby za tym wszystkim stała jedynie ta przyczyna, że obecnie ciało jest niezamieszkane? Naprawdę aż tak bardzo sam fakt zamieszkiwania ciała przez duszę upiększało ten kawałek materii? Mogłem się tego domyślać, ale nie myślałem, że ma to aż taki wpływ. Faktem jest, że gdy ogląda się obrazy z minionych epok, na których przedstawiono niby piękne postacie to w porównaniu z obecnymi twarzami wydają się one po prostu brzydkie. Gdyby przyjąć tok myślenia, że czym bliżej współczesności tym piękniejsze Energie zamieszkują ciała ludzkie i powiązać to z wyglądem ciał w zależności od lokatora, to wszystkie fakty łączą mi się ze sobą. A inna sprawa, że to, co tam leży, to przecież tylko materia o największej gęstości. W końcu resztę, tę najsubtelniejszą zabrałem ze sobą. Tak samo jak i umysł, choć przecież mózg zostawiłem Ziemi w spadku.

Tymczasem uczniowie obecni przy jego odejściu zaczęli powoli budzić się z apatii. Byli przygwożdżeni tym, co zobaczyli. Mieli jedną z niewielu okazji, aby być świadkami czyjegoś odchodzenia. Odbyło się ono w pokojowej atmosferze, bez chaosu biegających fachowców od reanimacji, bez rozpaczliwych szlochów i emocji ludzi pozostających na Ziemi, bez kurczowego trzymania się tego wątłego ciała przez głównego bohatera spektaklu. Po prostu odbyło się, a oni byli niemymi świadkami zaistniałej sytuacji. Nie do końca rozumieli, dlaczego właśnie tak się to odbyło, ale stali się w naturalny sposób statystami tegoż przedstawienia, ostatniego aktu sztuki życia.

Jacek obserwował ich jak przez weneckie lustro. Widział ich i słyszał doskonale, a co więcej, odbierał ich myśli i uczucia. Oni jednak nic nie wiedzieli na jego temat. Zdawali sobie co prawda sprawę, że zapewne nie całkiem umarł, ale pozostawali tylko w domysłach i nadziei. Jacek zaś nie próbował dawać znaku życia, a zresztą nie wiedział teraz nawet jak to zrobić, bo po jego stronie lustra znajdował się zaledwie od paru chwil. Inna sprawa, że zapewne i tak niczego by nie próbował, nawet gdyby umiał, bo nie chciał im

### *Los Barwą Malowany*

mieszać w głowach. Zbyt dużo emocji by mieli w jednym czasie. Musi im się jeszcze wiele spraw ułożyć w głowach i kiedyś sami do tego dojrzej.

W całej tej sprawie pozostało im zrobić tylko jedno. Najodważniejszy z nich otworzył pozostawione koperty, przeczytał je pobieżnie i pokrótce przedstawił wolę Jacka pozostałym. Na koniec skontaktowali się z zakładem pogrzebowym, ustalili warunki pogrzebu i rozeszli się do domów. W milczeniu i cichości swoich serc każdy zabrał ze sobą cząstkę tego, co się zdarzyło tego dnia.



Gdy wszyscy już poszli a ciało zabrano do kostnicy, został sam. Nie czuł się zbyt pewnie w nowym środowisku, gdzie wszystko wydawało mu się inne, obce. Nie wiedział jak się poruszać, co ze sobą zrobić. Czuł się zagubiony, bo na Ziemi go nie zauważano, a i tutaj nikt się ku niemu nie kwapił. Jedno tylko było pewne, że żyje. Kiedyś podejrzewał, że chyba tak to będzie wyglądać, ale co innego wyobraźnia, a co innego rzeczywistość. Nie było jednak aż tak źle. Miał mimo wszystko wrażenie, że tuż obok niego znajduje się ktoś niewidzialny, acz bardzo życzliwy. Chwilami zauważał jakby blask, lecz po chwili obraz znikał. Zastanawiał się nawet, czy to nie jest aby Kacper, ale pewności nie miał, choć coś mu mówiło, że temu komuś warto zaufać, i że we właściwym momencie wyciągnie pomocną dłoń.

Nie wiedząc zbytnio co ze sobą zrobić, powędrował jak większość za swoim ciałem. Nie wiedział po co, ale nie miał lepszego pomysłu.

Przez kilka kolejnych dni przemieszczał się. Raz sterczał bezmyślnie w chłodni kostnicy, innym razem odwiedzał stare kąty i bliskie mu osoby. Nie wiedział co było bardziej smutne, widok zamrożonych zwłok czy ludzie, których kochał. Bolało jedno i drugie.

— W tej chwili mogę się przynajmniej cieszyć tym, że przez tyle lat zastanawiałem się nad problemami śmierci i tego, co po niej. Nie rozwiązało mi to wiele, ale mam chociaż parę punktów zaczepienia, coś, do czego mogę się przykleić. I powoli oswoję się. Co jednak mają zrobić ci, którzy zgaśli nagle lub wręcz nie wierzyli w życie po życiu? Przecież oni muszą być chyba w strasznym położeniu.

Położenie Jacka również do najłatwiejszych nie należało. Czekalo go wiele spraw, które pozostało mu doprowadzić do końca. Chciał to mieć jak najszybciej za sobą, ale nie wiedział jak się za to zabrać. W trakcie życia ziemskiego zdążył poznać pewne zasady na tyle, że nauczył się z nimi żyć i wykorzystywać je. Tymczasem teraz wszystko było znowu nieznane i każda potencjalna sprawa wydawała mu się wymykać spod kontroli. Nie wiedział jak się za to zabrać, za krótko tu był. Przykładem takiego czegoś było przemieszczanie się. Żadne środki transportu nie wchodziły w rachubę. Dreptał więc z przyzwyczajenia powoli z miejsca na miejsce i pomimo posiadania dużej ilości czasu wkurzało go, że trwa to tak długo. Sprawa rozwiązała się dopiero wtedy, gdy ni stąd ni

*Andrzej Bednarz*

zowąd pomyślał, że chce być w jakimś odległym miejscu i nim się zorientował, bym tam już. Zaskoczony był całkowicie, ale od tej pory przemieszczanie przestało być problemem. Początkowo jeszcze nie umiał nad tym zapanować, bo gdy tylko o kimś pomyślał, już był koło niego. Było to trochę męczące, bo nie zawsze go interesowało, by gdzieś się znaleźć. Ruch odbywał się spontanicznie i poza jego wolą. Powoli jednak przypomniał sobie jak tym zjawiskiem sterować, a nawet jak bywać w kilku miejscach naraz.

Podobnie było z innymi sprawami. Po prostu uczył się i odkrywał nowe możliwości, nowe środowisko i świat, a właściwie to przypominał je sobie ponownie. Szło mu z tym o wiele szybciej niż przy próbach fizycznych, bo realia były bardziej subtelne i czas reakcji znacznie krótszy, a często natychmiastowy. W każdej chwili miał możliwość obserwowania ciągłych związków swoich myśli i natychmiastowych na nie reakcji. Było to w oczywistym związku ze sobą, a co w materii już takie oczywiste nie było. Wracając tutaj doznawał szoku, bo przyzwyczajenia chaosu myśli pozostały, ale ich rezultaty stawały się od razu widoczne. Było to też i źródłem radości, że jest się sprawcą swego doświadczenia, a nie jego ofiarą.

Pierwsze dni po śmierci upływały mu więc na ciągłych eksperymentach. Żył na granicy dwóch światów i próbował to jakoś pogodzić. Najgorsze jednak było dla niego to, że choć był jednocześnie w dwóch światach to zarazem nie było go tak do końca w żadnym z nich. Z jednego jeszcze nie odszedł, drugi go całkiem nie wchłonął.

Próbował kontaktować się więc z osobami, które lubił. Niestety, w większości nie reagowały na niego w ogóle. Niektórzy coś minimalnie wyczuwali, bo w jego obecności zaczynali odruchowo go wspominać. Nie wiedzieli jednak dlaczego ów temat przychodził im na myśl, a przyczyna była tak banalna. Niestety nie udało mu się skontaktować z nikim w sposób jawny. A właściwie to chyba nawet tego nie chciał, czuł bowiem, że nie powinien przywiązywać się coraz mocniej, a należało raczej dążyć do uwolnienia się od dotychczasowych związków.



— Ale fajnie się palą — Jacek niemal klaskał w dłonie widząc swoje zwłoki w rozpalonym piecu.

Widok palenia zwłok nie sprawiał mu żadnej przykrości lub odrazy. Widział coś takiego dawno temu na żywo, nad Gangesem, gdzie stosy palne stały co kilkadziesiąt metrów. Co prawda tutaj miał do czynienia z piecem, ale przecież chodziło o to samo. Czy robiło mu jakąś różnicę, że to było jego ciało? Raczej nie. Przez te kilka dni oswoił się już z myślą, że powrotu nie ma i żałowanie zużytego ubrania byłoby niemądre. A poza tym sam przecież prosił w swojej ostatniej woli, aby ciało spalono.

— Dobrzy z nich ludzie. Pokierowali sprawy tak jak prosiłem i jestem im za to wdzięczny. Teraz jeszcze tylko pogrzeb i śladu po mnie nie będzie. Mam nadzieję, że



## Los Barwą Malowany

zostanie pamięć i dobre wspomnienia. A materialne resztki przestaną być dostępne i nie będą budzić jakichkolwiek emocji. Mnie zaś nie będą przytrzymywać wspomnieniami.



Z góry widać było najlepiej. Mógł objąć wzrokiem wszystkich, a było ich trochę. Miał kiedyś cichą nadzieję, że choć garstka będzie o nim pamiętać, ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał nigdy, że przyjdzie taki tłum.

Niektórzy z nich musieli przybyć z daleka, inni mieli pod nosem. Skąd się w ogóle dowiedzieli? Czyżby pocztą pantoflową? Najbardziej zdumiało go, że widzi wiele nieznanych mu twarzy, których wydawało mu się, że nigdy nie spotkał. Nie brał pod uwagę jednak, że przecież znał tylko pojedyncze osoby a te mają swoje rodziny i znajomych, którzy w jakiś sposób również korzystali z jego wiedzy. Byli i tacy, z którymi znali się zaocznie, a kontakt ich odbywał się listownie bądź telefonicznie. Jak by na to nie patrzeć, cieszył się z tego tłumu. W końcu przybyli tu po to, aby go pożegnać, a to mogło świadczyć, że pozostało po nim coś dobrego. Przez całe swoje życie nie zastanawiał się nad tym. Po prostu robił to, co uważał za stosowne, pomagał lub nauczał, innym razem ganił lub dystansował się, ale nigdy nie wartościował tych spraw w jakichkolwiek kategoriach. Aż do chwili obecnej, bo to, co widzi pod sobą, raczej wskazuje, że nie było tak źle.

Zgromadzony tłum przypominał bardziej uczestników jakiegoś festynu niż ceremonii pogrzebowej. Tym bardziej, że na niebie świeciło piękne słońce, bez cienia chmurki. Nic dziwnego również, bo zgromadzono ich na wielkiej, soczystej swą zielenią łące nad brzegiem rzeki przepływającej przez miasto, w którym żył Jacek przez ostatnie lata swojego życia. Nikt z nich nigdy nie brał udziału w tak dziwacznej imprezie. Rozglądali się więc niepewnie wokoło z nadzieją, że nie są uczestnikami jakiegoś durnego żartu lub jeszcze głępszego spektaklu *ukrytej kamery*. Nie mogli mieć pewności, a jednak tkwili w tych samych miejscach, niektórzy rozmawiali ze sobą i próbowali wzajemnie wesprzeć się w tej niepewności.

Kilka metrów od brzegu rzeki Jacek zauważył tych, którzy byli z nim, gdy wydawał ostatnie tchnienie. Można by powiedzieć, że były to osoby, które wtedy kochał najbardziej i ufał im, że nie zawiodą go. Trzymali się razem. Biorąc pod uwagę, że doprowadzili do spalenia zwłok, tak jak sobie tego życzył, świadczyło, że nie mylił się co do nich. Był co prawda ich bliskim przyjacielem, ale to jeszcze nie musiało znaczyć, że przejmą się jego niecodziennym pomysłem. Skoro jednak, jak sam widział, zwłoki spalono a teraz widzi przybyłych ludzi w miejscu, które z pochówkiem raczej się nie kojarzy to zapewne poważnie potraktowali jego prośbę i wolę jednocześnie.

Z grubsza wiedział co się stanie, bo szkic, jakby scenariusz tej imprezy sam napisał, ale przecież bez konkretów. Te miały się okazać za chwilę, tak jemu jak i pozostałym. Zbliżył się więc do tych, którzy wzięli w swoje ręce to, co w najbliższym czasie się wydarzy.

Andrzej Bednarz

Na ziemi stał mały stolik, przykryty błękitnym obrusem, a na nim jakieś naczynie, zapewne urna z prochami.

— Niezłe — pomyślał Jacek, — mają niezłe wycucie. W końcu błękit kojarzy się tak jednoznacznie... a poza tym to przecież kolor o głębokiej duchowości. No i ta urna. Ach, z jakiej pięknej skały! Przepiękna jest. To chyba labradoryt, sądząc po tych niebieskich refleksach. Gdybym jeszcze żył dalej to nie miał bym nic przeciwko temu, aby mieć w domu takie cudo jako ozdobę. Kochani są. Zupełnie tak, jakby w pełni odczuwali moje poglądy, choć z drugiej strony, po tylu latach bliskiej znajomości nie powinienem się dziwić.

W tym momencie do stolika podszedł jeden z przyjaciół Jacka, wyjął plik zapisanych kartek papieru i zabrał głos.

— Szanowni zebrani — zaczął wyraźnym, donośnym głosem uspokajając tłumek ludzi i skupiać ich uwagę na sobie. — Zapewne zastanawiacie się, dlaczego poproszono was o przybycie w to miejsce. Co do samego celu to oczywiście znacie go. Zgromadziliśmy się tu wszyscy, aby pożegnać Jacka. Był naszym przyjacielem, dla niektórych nauczycielem a dla jeszcze innych uczniem. Nie miał już żadnych bliskich krewnych, co w jego wieku jest normalne i dlatego poprosił nas o oddanie mu ostatniej przysługi. Łączy nas wszystkich pamięć i znajomość tego człowieka. Za chwilę połączy nas też uczestnictwo w niniejszej ceremonii. Specyficznej ceremonii, o czym się za chwilę przekonacie. Umyślnie nie nazywam jej pogrzebem, bo pogrzebem ona nie jest. Nie będzie bowiem kogo grzebać. Ostatnią wolą Jacka było, aby pochować go jedynie w naszych umysłach i sercach. Poprosił, abyśmy zorganizowali to według jego ogólnych wskazówek. Mam nadzieję, że jest z nas zadowolony. Zrobiliśmy tak, jak wydawało się nam, że tego by chciał, choć do końca nie wiemy, dlaczego dokonywaliśmy takich czy innych wyborów. Zwykle ktoś prowadzi tego typu ceremonie. Jacek nie chciał jednak nikogo w tej roli, a już szczególnie żadnych kapłanów, chciał bowiem pożegnać się z wami osobiście, na tyle, na ile to jest w tych okolicznościach możliwe. Za chwilę zostanie wam odczytany jego list pożegnalny. Użyczam Jackowi swego głosu, ale to on jest autorem słów.

*Moi kochani, to ja, wasz Jacek.*

*Chciałoby się powiedzieć słowami Jana Sztudyngera: «Żyłem, kochałem i cierpiałem z wami. Teraz żyjcie, kochajcie, cierpcie sobie sami». No cóż, ten moment nadszedł, dla każdego nadchodzi. Tym razem przyszła kolej na mnie. Nie martwcie się jednak i nie smućcie, jak to bywa na normalnych pogrzebach. Jesteście inni, taką mam przynajmniej nadzieję. Wiecie znacznie więcej niż większość ludzi i dlatego wydaje mi się, iż zdajecie sobie sprawę, że człowiek nie idzie w nicość, nie przepada. Po prostu odchodzi i jest to naturalne. Tak samo jak ludzie, którzy zmieniają adres zamieszkania, dzieci wyprowadzające się z domu rodziców czy osoby wyjeżdżające na dłużej. Ja również odchodzę, bo mój czas tu na Ziemi się skończył. Osiągnąłem i doświadczyłem wszystkiego, co zaplanowałem na to życie i dalszy pobyt mijalby się z celem. Nim jednak odejdę na stałe, chciałem się z wami pożegnać, osobiście. Znaście mnie od tak dawna*

*i zauważyliście zapewne, że nie akceptowałem głupoty, mydlenia oczu, strachu przed nieznanym. Wolałem mieć własny osąd danej sprawy niż liczyć na ślepego powiernika, tym bardziej gdy takim kimś bywał ksiądz lub inny kapłan. Nigdy nie uznawałem ich świętości i nie uważałem, że tylko oni znają prawdę. Było wręcz odwrotnie, widziałem bowiem i słyszałem wielokrotnie, co wiedzą. Najczęściej wiedzieli niewiele a swą niewiedzę agresywnie przykrywali arogancją, dogmatami i straszaniem. Dlatego też wybrałem taki sposób pożegnania się z wami, a nie żaden ze standardowo oferowanych. Nie chciałem dokładać wam smutku do i tak już smutnej imprezy. Wolałem was pocieszyć, być z wami nawet w takiej chwili.*

*Zanim całkowicie odejdę, przybyłem na to spotkanie osobiście. Myślicie zapewne, że jestem tu w słowach, które właśnie słyszycie? Macie rację, ale tylko częściowo. Jestem słowami, bo sam je dla was napisałem. Uważałem, że zamiast durnych przemówień pożegnalnych lub innych kazań zasługujecie na coś wartościowszego, na słowa otuchy. Z drugiej strony przybyłem do was jako duch. Zapewne wielu z was w tej chwili rozgląda się i szuka mojej sylwetki. Jesteście na dobrej drodze, bo gdzieś obok was lub nad wami jestem. Niestety, zauważą mnie tylko nieliczni, których oczy są jaśniejsze niż pozostałych. Jeżeli widzicie mnie, pozostawcie tę wiedzę dla siebie. I tak na nic zda się pokazywanie miejsca, w którym jestem, tym, którzy mnie nie widzą. Skoro natura nie obdarzyła ich w tej chwili widzeniem tego typu to lepiej dla nich będzie, jeśli spróbują mnie poczuć. Pomyślcie po prostu o mnie a ja usłyszę wasze myśli i odpowiem również w myślach. Do każdego coś trafi.*

*Chciałbym wam podziękować za nasze wspólne chwile. Było ich trochę i osobiście doceniam je. Przez całe życie zmagalem się z wieloma przeciwnościami losu, szarpałem ze swoimi ograniczeniami i problemami. Chwile spędzane z wami były bakaliami w tym cieście żywota. Dawaly mi odskocznię od codzienności oraz szansę dzielenia się z wami tym co wiedziałem. Uczyłem się wraz z wami, choć może czasami robiłem to szybciej. Mam cichą nadzieję, że to, co w was wlałem, wesprze was przez pozostałe wasze dni.*

*Na zakończenie naszej wspólnej przygody chciałbym jeszcze raz, z naciskiem powiedzieć i przypomnieć ważną rzecz. Nie bójcie się śmierci, bo ona nie jest waszym końcem. Za nią jest inne, właściwe życie. Z chwilą gdy skończycie waszą wycieczkę ziemską, wróćcie do waszego prawdziwego domu. Nie pozwólcie też nikomu, jakkolwiek chciałby być świętym lub uznawano czy nazywano by go takim, aby siał w was niepokój i lęk przed śmiercią. Zmienić tego człowieka się wam nie uda, ale możecie go ominąć. Życie bez lęku przed śmiercią, karą czy nicością jest o wiele łatwiejsze. Nie znikną przez to wasze problemy, ale będą one wynikać raczej ze scenariusza waszego życia niż z waszego strachu. Gdy zaś pojawi się moment odejścia, nie uciekajcie. Pozwólcie, aby dokonano się to tak jak inne etapy i sprawy w życiu. Proszę was też, abyście tą wiedzą dzielili się z innymi. Wystarczą tysiące lat przekłamań. Ludzie powinni dla swojego dobra wiedzieć, że zrzucając stare ubranie nie giną na zawsze. Nikt też ich za nic nie*